



Warszawa d. 2 (14) Lipca 1878.

N^o 28

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcyja i Ekspedycyja główna: ulica Czysta N^o 415 (nowy N^o 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincy:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Kierunki Berlińskiego Kongresu. II.—Kongres literacki w Paryżu. I.—Ze Szwajcaryi.—Piękna, dramat w 4-ach aktach, Wł. Okońskiego. (dokończenie).—Polityczne Piśmiennictwo Polskie.—Źródła dziejowe.—Kronika Powszechna.—Przegląd Polityczny.—Wiadomości handlowe.—Echa XXVIII.

KIERUNKI Berlińskiego Kongresu.

II.

Kongres nie stwarza zasad, ale je sankcyonuje... czyniami. W rzeczywistości mało to stanowi, czy pełnomocnicy różnych mocarstw powoływali się na tę lub inną zasadę, ale bardzo ważną jest rzeczą, w jakim duchu rozwiązywali postawione sobie zadanie; w historii bowiem te tylko zasady coś znaczą, które zostały wcielone w czyn. Otóż przebiegając rozwiązanie wszystkich sześciu głównych punktów, nad którymi pracował kongres berliński, dochodzimy do wniosku, że wszędzie zaprzeczono zasadę narodowości, w imię której rozpoczęły się ruchy i działania na Wschodzie. Wprawdzie utworzenie niezależnego Księstwa Bułgarskiego byłoby faktycznym tej zasady narodowościowej stwierdzeniem, gdyby w jego ukonstytuowaniu przewodniczyło coś innego, nad prostą myśl strategiczną. Podwalinami każdego państwa może być albo dawniejsza zasada legitymizmu historycznego, albo nowsza praw narodowościowych. Ze po tak długiej przerwie, jaka upłynęła od upadku samoistności państwa bułgarskiego, i po tylu zmianach, jakim Wschód uległ, niepodobna się było wracać do pierwszej z wymienionych zasad—każdy łatwo oceni. Ze się nie zwrócono do drugiej, świadczy fakt utworzenia nie jednej, ale dwóch Bułgarij: księstwa z tej strony Bałkanu i autonomicznej prowincyi tureckiej po tamtej stronie gór, którą naprzód Bułgarią Południową, a ostatecznie Rumelią Wschodnią nazywać postanowiono. Jeżeli puszczona przez dzienniki pogłoska, iż ks. Karol rumuński obejmie także władzę dziedzicznie panującego w książęcej Bułgarii, jest prawdziwą, odsłaniałaby ona lepiej jeszcze strategiczną myśl, w ukonstytuowaniu tego ostatniego kraiku tkwiącą. Czegoż bowiem można się spodziewać dodatnio po tak dziwacznej kombinacji, jakąby było państwo rumuńsko-bułgarskie? Czemuż nie stworzono naturalniejszego związku bułgarsko-serbskiego, przez powołanie na oba trony księcia Milana? Jeżeli w znaczeniu politycznym zrozumiałą byłaby federacyja wszystkich państw półwyspu Bałkańskiego, dość obszerna i sil-

na, aby prowadzić życie samoistne i dać popęd moralnemu i materyalnemu postępowi wschodo-południa Europy—to federacyja rumuńsko-bułgarska mogłaby być tylko formą przechodnią, a jej znaczenie czysto strategiczne w walce o panowanie nad Dunajem i w Konstantynopolu. Już ten jeden szczegół, iż granice książęcej Bułgarii wtedy dopiero zostały przyjęte, skoro w nie włączono oskrzydłający Bałkany sandżak sofijski, określa charakter tego nowonarodzonego państewka. Konieczność zwrotu części Bessarabii, która jak pomost łączy Bułgarię ze wschodnim jej twórcą, konieczność tak silna, iż gdyby Europa nie ustąpiła w tym punkcie, nie byłoby ani kongresu berlińskiego, ani pokoju—zasadę, która powołała do bytu Bułgarię jako państwo, ostatecznie przesądza. Nareszcie, nie wiemy czy prawdziwe wyłączenie z retrocessyji Bessarabii północnego ujścia Dunaju—Kilii, które przy Rumunii zostaje, wniosków naszych nie osłabiłoby, ale poparło; gdyż ważne to ustępstwo dla bucareckiego gabinetu wskazywałoby, iż Rumunii otworzono furtkę do powrotu ku właściwym jej stosunkom i przymierzom. Tym sposobem oba księstwa naddunajskie znowuby weszły, jak się to dziś mówi, w sferę polityki i interesów rossyjskich. Sferze tej mają odpowiadać dwie inne, na które rozpadło się zgrzybiałe państwo Pałdyszacha: austryacka i angielska. Już sam fakt podziału Turcyi na trzy sfery interesów, fakt, który stanowi kulminacyjny punkt prac kongresu berlińskiego, świadczy, iż o zasadzie narodowości w ścisłym jej znaczeniu mowy być nie może. Czyż bowiem włączenie Serbii a poniekąd Czarnogóry w sferę wpływów i interesów austryackich, gdyby było szczere, nie zaprzeczałoby tejże zasadzie? Jeżelibyśmy, traktując kwestyję czarnogórską z punktu ekonomicznych stosunków tego kraiku, lub dynastycznych zachcianek księcia Nikity, przyznali Austrii prawo i możność urządzenia takowej bez gwałtu dla narodowych dążeń i uczuć, to zawsze zostanie otwartą sprawa serbska. — Można nie podzielać przesadnych złudzeń serbskiej omladiny, ani pretensyj wielko-serbskiego carstwa, ale z zasady narodowościowej wynika konieczne uznanie praw serbskiego plemienia, które jest dość liczne i zbito ułożone, aby mogło utworzyć niezależne państwo. A czyż nie jest temu zaprzeczeniem wejście Serbii w sferę austryacką?

Powiadają, iż w Berlinie hr. Andrassy wszedł w bezpośrednie stosunki z pełnomocnikami serbskimi i tak określił im swe stanowisko do ich sprawy na kongresie, iż p. Risticz uznał, że to, co Serbii ofiaruje Austria, jest korzystniejszym, niż to, co dawał traktat san-stefański. Wierzyć można. Traktat san-stefański przedewszystkiem miał na względzie wielką Bułgarię, niekoniecznie troszcząc się o innych — a Serbia, jak to oświadczył w swoim czasie generał Ignatiew, najwięcej sprawiała kłopotu. Pan Risticz więc widzi zapewne korzystniejszą propozycyę hr. Andrassego—ale cóż to stanowi? Czyż nota ministra załatwia kwestyję narodowych popędów? Czyż naród sam może abdykować, choćby chciał, z kierunku swego życia, rozwoju, ze swych dążeń i ideałów? Gdyby Austria była nawet państwem czysto słowiańskim, to Serbowie aniby mogli, ani chcieli rzec się dla niej swych nadziei, ani zupełnej niezależności sprzedać za najszerzej nawet pojętą autonomię; zależność zaś lenna jest formą przeżyta i prowadzi tylko do nieustannych zatargów. A teraz przypomnieć sobie winniśmy, iż Austria nie jest państwem słowiańskim, że jest zbiorowiskiem ludów administrowanych przez niemiecko-madziarskie narodowości, które dopóki obecny porządek rzeczy trwać będzie, nie wyrzekną się swego wygodnego stanowiska naczelnego. Patrzmyż tylko, co się teraz dzieje. Austria na kongresie berlińskim otrzymuje od całej Europy mandat zajęcia Bośni i Hercegowiny, w celu uporządkowania tam stosunków politycznych, prawnych, administracyjnych, a to na koszt Turcyi i na rachunek jej skolatanych finansów. Czy zbrojna tym bezterminowym mandatem, któryśmy pięć miesięcy temu przepowiadali na szpaltach naszego pisma, idzie do Bośni Austria słowiańska, dopomóż sprawom narodowości? Nie można się ludzi po tem, co powiedział p. Tisza w sejmie madziarskim, iż rząd nie pozwoli nigdy na powstawanie u granicy drobnych państw, któreby, wiążąc się jednym łańcuchem, krępowaly mu nogi. Do Bośni więc idzie Austria madziarsko-niemiecka, idzie zaprzeczyć prawom narodowościowym tamtejszych ludów, idzie pilnować swej politycznej idei państwowej w obecnym składzie. Nie roz-bieramy w tej chwili szczegółów niepotwierdzonych, więc niepewnych, rozgraniczenia, urzędzeń i t. d.; dość jednak będzie wskazać,

iz główną Austrii misją jest rozgrodzenie, ile można najszerzej, Czarnogóry od Serbii, rozgrodzenie, którego Turcy w obecnym stanie przez 24 godzin nie byłaby w możności utrzymać. Austria chętnie przyznaje Serbii wynagrodzenia terytorjalne w stronie Niżu; Czarnogórze na północy i północno-wschodzie, aby tylko dla siebie oczyścić jak najszerzy pas między temi krajami, pas niewinnie jej potrzebny do przeprowadzenia kolei Salonickiej. Z tego łatwo przewidzieć, jak wyjdzie idea serbska narodowościowa na tej opiece madziarsko niemieckiej. Niezmiernie ciekawym komentarzem w tym względzie jest niedawny artykuł berlińskiej *National Zeitung*, przepowiadający, iż jeżeli Austria będzie umiała postępować rozsądnie, znajdzie się ostatecznie w Konstantynopolu, jak to się prawdziwemu państwu wschodniemu (Oestreich) należy. Przepowiednia nie jest nową. Po Sadowie i wyłączeniu Austrii ze związku niemieckiego wskazywał to ks. Bismark, a szczególny ton, jakim ten dyplomata mówił o „zdziebelku hercegowińskim” i wielka usilność, z jaką popierał na kongresie udzielenie bezterminowego mandatu zajęcia Bośni, zwracają powszechną uwagę. To jest bowiem szczególnem, iż ani ks. Bismark, ani *National Zeitung* nie wzmiankują, co w razie przesiedlenia się dynastji Hauburgów do Carogrodu stanie się z pięknym miastem Wiedniem i ziemczonemi prowincjami Austrii. Z napomnień tych nie wyprowadzamy jeszcze zbyt śmiałych wniosków, dziwną się nam bowiem wydaje owa dynastyczna misja Arcyapostolsko-katolickiej Mości do Konstantynopola. Zresztą, czyż w starej Pałeologów nad Bosforem stolicy nie zasiadli już pretendenci gotowi do spadku po „konnajacym człowieku”, jak dziśby Turcyę nazwać należało? Wszakże królowa Wielkiej Brytanii a cesarzowa Indyjska dała już po znać, że umie być równie dzielną strażniczką anglikańskiego kościoła, jak opiekunką mahometańskiego półksiężycy. Przecież Anglia nie darmo uczyniła próbę przewiezienia swych mahometańsko indyjskich żołnierzy na Maltę, aby kto inny nad jej wielkorządów nie panował w Konstantynopolu.

Tymczasem wejście w sferę wpływu austriackiego, tak jak go określa kongres a natura tego państwa stawia, krzyżuje i niszczy narodowe dążenia Słowian, którym prócz tego starają się przeciwstawić narodo-

we dążenia Greków. Ci ostatni, popierani przez Anglię, jako żywioł, na którym najłatwiej dałaby się oprzeć potęga, jeśli nie angielskiego panowania to protektoratu, pretendują do trzech prowincyj oraz wpływów na Albanie i ewentualnie do panowania w Konstantynopolu. Lecz i sprawa grecka na teraz nie będzie rozwiązana w duchu idei narodowości. Turcy, która, o ile ją krępią względy na traktat San-Stefano, zachowuje się biernie, pozwalając Anglii i Austrii na obronę przeciw Rosyji, wystąpiła czynnie, kiedy chciano zadowolnić Grecyę kosztem pozostałych przy Padyszachu okręgów z grecką narodowością. Nawet na propozycję ustąpienia Kandyi, popieraną przez Francję, pełnomocnicy tureccy oświadczyli, że opuszczą kongres, jeżeli kwestya ta nieprzychylnie ich widokom zostanie rozstrzygnięta. Grecy, którzy zapewne poprzestaną będzie musiała na jakimś drobnym sprowadzeniu granic, co na ogół sprawy żadnego nie będzie miało wpływu.

Lecz może na takim przebiegu spraw kongresu zarobią Turcy, których prawa narodowe w posiadłościach europejskich Padyszacha dość bezwzględnie są zapoznawane. Turkom dzisiaj pamięta się tylko ich przed czterema wiekami najście, obecny pogrom i bankructwo; zresztą traktują się jako żywioł państwowy, a nie narodowy! — Nic więc od zasad narodowych żądać nie mają prawa i nikt też pod tym względem nie żąda niczego na ich korzyść. Baturum dla tego jest sporną kwestyą drażliwej natury, że tam mieszka ludność turecka, nie dla tego, że jak niegdyś za Ardachanem softowie się upominają, ale dla tego, że Baturum jest portem i leży w sferze interesów angielskich. Utrzymywano na kongresie, iż jeżeli Turcy ma istnieć w Europie, należy jej dać warunki umożliwiające egzystencję i zgodzono się na to, ale w znaczeniu państwowem, nie narodowem.

Zdaje się, że czytelnik, wraz z nami przebiegając fakta, przychodzi do wniosku, iż kongres berliński, który się zakończył może, gdy te słowa drukowane będą, wziął kierunek przedewszystkiem odpowiedni chwilowemu interesowi trzech mocarstw Europy: Anglii, Austrii, Rosyji i że ignorował w swych wynikach wszelkie inne zasady. Nic też więc dziwnego, że dzieło stworzone w Berlinie robi wrażenie rozjemstwa, ale nie europejskiego aktu pokoju. Świat

najbystrzejszy w ocenianiu takich rzeczy, świat finansowy, wita berliński traktat chłodno, z niedowierzaniem. W Austrii pewna falanga urzędnicza, oraz przedsiębiorcy kolejowi obrachowują przyszłe zyski z zajęcia Bośni i Hercegowiny — ale też to i wszyscy, którzy się tem cieszą. W Anglii opinia oczekuje rozwiązania kwestyi Baturumu, aby swój wyrok ogłosić. W Rosyji narady berlińskie nie znajdowały dotąd dość przychylnego uznania, chociaż niewątpliwie są one w znacznej części tryumfem rosyjskiej dyplomacji, gorliwie popieranej przez „uczciwego faktora”, który zgodnie z tą nazwą nawet broń zapuścił. Na wschodzie nareszcie pokój berliński stwarza dzieło ułamkowe, połowiczne, a nie załatwiając ani jednej kwestyi w całości, pozostawia półwysep po staremu wielkim składem materiałów palnych, do których ktokolwiek się dotknie, pożar roznieci. Lecz pokój berliński, usuwając Turcyę, a na jej miejscu stawiając jasno określone trzy sfery: angielską, austriacką, rosyjską, to dobrego spełnił, iż przyszła wojna na wschodzie nie będzie już wojną turecką, ale europejską.

Kongres literacki w Paryżu.

I.

Podczas gdy w pałacu Radziwiłłowskim w Berlinie zgromadzeni dyplomaci określają polityczne stosunki Europy, zebrani w teatrze Châtelet w Paryżu literaci porządkują umysłowe. Co za nauczające porównanie dałoby się przeprowadzić między temi dwoma kongresami, które, poczynając od słuszności a skończywszy na sile, tak odmienne przedstawiają widoki! Tu targ o narody, tam na zasadach sprawiedliwości oparte porozumienie co do ich duchowej własności, tu walka zysków, tam ugoda praw, tu wyrok z mocą obowiązującą, tam prośba do rządów. Nie sądzicie jednak, ażeby uchwały literackie kongresów były daremnemi życzeniami, z którymi wiatr losu swobodnie sobie igra. Jakkolwiek posiadają one zawsze charakter układów prywatnych, niemniej oddziaływały na wewnętrzne i zewnętrzne stosunki piśmiennicze narodów i zyskiwały sobie moc ustaw obowiązują-

ECHA WARSZAWSKIE.

XXVIII.

Jak donosiliśmy, od 14 do 24 sierpnia odbędzie się w Warszawie zatwierdzony przez władzę zjazd rosyjskich leśników i właścicieli lasów. Ponieważ J. W. Gubernator warszawski odwołał się za pośrednictwem naczelników innych gubernii do naszych ziemian, posiadających lasy, ażeby w zjeździe udział przyjęli, sądzymy więc, że oni tę sposobność wyzyskają na korzyść swego gospodarstwa leśnego. Przedewszystkiem naturalnie idzie tu o sprawę serwitutów, które ciężąc na tem gospodarstwie nie pozwalają mu się rozwijać. Tymczasem zjazd mógłby wystąpić do ministerstwa z odpowiednim przedstawieniem i wpłynąć na zmianę stosunków ziemiańskich, którym doprawdy należy się pomoc. Tylko nie puszczajmy sprawy na wolę losów, niech nasi obywatela nie kiwają sceptycznie ręką na skutki zjazdu i niech jak najliczniej się zgromadzą.

Patrząc na bieg wielu naszych spraw społecznych, dziwimy się doprawdy, że mamy

już u nas... koleje i telegrafy. Gdy bowiem za granicą miasta mniejsze od Warszawy w bardzo szybkim czasie przyswajają sobie wszelkie udogodnienia, jakie przynieść może postęp urządzeń socyalnych lub wynalazków i odkryć naukowych, u nas tymczasem każde ulepszenie, każda reforma musi bardzo długo wyczekiwać na swoją kolej i pojawia się jako nowość wtedy, gdy gdzieindziej należy do historii, gdy potrzeby społeczne, wytworzone przez zmianę stosunków, wielkim głosem oddawna już się ich domagały.

Tramwayów naprzykład miasto nasze do czekać się nie może i godzić się musi z rozpaczliwie niewygodnymi wehikulami; o urzędzeniu odpowiednich targów i bazarów jeszcze ani słyhać; racjonalna kanalizacja należy do marzeń kryjących się w mgłę bardzo odległej przyszłości, a tu tymczasem trapią nas na wszystkie strony niewygodny miejskiego życia, nie mówiąc już o sanitarnym stanie miasta, przedstawiającym się bardzo niewesoło.

Do urządzeń bardzo mało odpowiednich istotnym potrzebom wygody publicznej należy obecnie stan poczty, potrzebującej koniecznej reformy, gdyż w wielu razach dla interesantów przedstawia ona prawdziwie bajeczne kłopoty. Niedawno podnoszoną była w prasie naszej sprawa filij pocztowych, któreby ułatwiły stosunki z centralnym

pocztamtem mieszkańcom, oddalonym od środka miasta, ale projekt ten został w dziedzinie niewcielonych pomysłów.

Nie wdając się w tej chwili w bliższy rozbiór tej kwestyi zaznaczyć tylko należy, że wogóle w naszym mieście stosunki pocztowe pod wieloma względami wołają o konieczną reformę. Wystawmy sobie naprzykład, na jakie straty i kłopoty narażony jest mieszkaniec ulicy Franciszkańskiej, który ma posłać list rekomendowany lub odebrać pieniądze w pocztamcie na Wareckim placu. Niedośc, że się porządnie zmęczy forsownym spacerem, albo też wyda sporo grosza na dorożki, musi wyczekiwać na swoją kolej w tłumie interesantów, a jeśli przypadkiem trafi na porę odbierania prenumeraty pism peryodycznych, to wyczekawszy nawet kilka godzin może odejść z kwitkiem, jeżeli do chwili zamknięcia biura urzędnicy nie zdolają wszystkich załatwić. Tak czy owak, załatwienie interesu pocztowego kosztuje w takim razie wiele czasu, którego strata w pewnych razach może prowadzić za sobą dotkliwie materialne krzywdy. Kto tylko mieszkał w większych miastach za granicą, ten może się przekonać, jak dalece jesteśmy w tej mierze upośledzeni, jak dalece troska o wygodę publiczną stoi wyżej na tym „zgnitym zachodzie”, który dla pewnych tendencji bywa czasami tak poniżanym. W takim

ych. I dla tego obecny kongres zasługuje na uwagę nie tylko z powodów teoretycznych, ale także jako możliwa podstawa do przyszłych przepisów praktycznych. Ażebyśmy jego rację należycie zrozumieli, musimy choć przelotnym spojrzeniem objąć historię usiłowań zabezpieczenia literackiej własności.

Pierwotną formą¹⁾ tego zabezpieczenia były przywileje, udzielane autorom lub nakładcom na wyłączną sprzedaż wydawanych przez nich książek. Najpierwszy ze znanych tego rodzaju przywilejów udzielił Piotrowi z Rawenny rzezcospolita wenecka w r. 1491 na dzieło p. t. *Phoenix*. W aktach tych określano zwykle czas ich znaczenia i kary za przestępstwa. W XVI wieku rząd angielski ujął przemysł drukarski w monopol, urządziwszy korporację tak zwanych *stationers*, składającą się z drukarzy, papierników i introligatorów, mającą wyłączne prawo wydawnictwa. Dalszym ciągiem tej ustawy były nowe ścieśnienia a po nich ulgi, które wreszcie doprowadziły do obowiązującego po dziś od r. 1842 w Anglii prawa, określającego czas trwania własności literackiej na lat 7 od śmierci autora lub 42 od pierwszego wydania (zależnie od korzyści posiadacza monopolu). Zapisanie dzieła do rejestru *stationers'ów* jest już teraz tylko prawnym dowodem, wymaganym przez sądy w sprawach o naruszenie monopolu. Przywóz do Anglii dzieł, za granicą przedrukowanych, karany jest ich konfiskatą, 10-ma funt. szterl. i opłatą podwójnej ceny za każdy wprowadzony egzemplarz. Na ten mniej więcej wzór, z rozmaitemi odmianami i oznaczeniami terminów urobione zostały prawa innych krajów, które po szczególe zajmować się nie możemy i poświęcimy główną uwagę przedsiębranym w tej mierze kongresom.

Skutkiem ciągłych starań o zabezpieczenie własności literackiej, naruszanej zewnątrz krajów, sprawa ta stała się wreszcie międzynarodową. Z początku rządy zapobiegały tylko nadużyciom wewnątrz państwa, strzegąc na komorach, ażeby dokonywane za granicą przedruki do niego nie wchodziły. Przekonano się jednak wkrótce, że trzeba koniecznie zejść na drogę mię-

¹⁾ Opiaramy się w tym względzie na pracy W. Spasowicza *Prawa autorskie i kontrefakcja w tłumaczeniu J. M. Kamińskiego (Bibl. Um. Praw.)*.—Warszawa 1874.

dzynarodowego porozumienia. Pierwszy przykład dała Francja, zawarłszy 1852 r. konwencję z Belgią, która ją najbardziej wydawniczo grabiła. Niedosć tego. Ogłosiła ona osobnym dekretem, iż pod karą zakazuje u siebie przedruku wszelkich zagranicznych dzieł, nie wymagając wzajemności ze strony państw, w których dzieła te były wydane. Podobnymi traktatami związały się inne mocarstwa. Gdy nareszcie rzecz sama dostatecznie się rozjaśniła a wzajemne interesa wymagały wspólnych rękopisów, powzięto zamiar kwestyę rozstrzygnąć sposobem europejskich kongresów. Pierwszy z nich odbył się r. 1858 w Brukselli. „Członkowie kongresu mieli za zadanie umówić się co do jednakowego ile możliwości decydowania kwestyi praw autorskich w różnych państwach, aby tym sposobem przygotować materiał do międzynarodowego tych praw uporządkowania, ułożyć projekt do przyszłej kosmopolitycznej ustawy, któraby zabezpieczała własność literacką i artystyczną. Postanowiono żądać: zupełnego zrównania autorów i dzieł zagranicznych z krajowymi; starać się o uwolnienie utworów literatury i sztuki od opłat celnych i o zniesienie dla nich taryfy pocztowej; w miarę możliwości zrównać we względzie praw autorskich dzieła muzyczne, dramatyczne i w ogóle utwory sztuk z płodami literackimi; zostawić autorowi na krótki termin wyłączne prawo wydawania tłumaczeń swego dzieła na obce języki; nie robić różnicy w prawach między beztestamentowymi a testamentowymi spadkobiercami autora, jako też i postronnymi nabywcami jego praw; nakoniec—ustanowić dla praw autorskich 50-letni termin od daty śmierci autora!” Zasadę *wieczystości* praw autorskich odrzucono. Umowę tę przyjął i drugi kongres, odprawiony w Antwerpii 1861 r. Wyznaczona tegoż roku przez Napoleona III komisya poszła dalej. Po długich i zaciętych sporach nad kwestyą wieczystości praw autorskich, komisya większością głosów uchwiliła: „zważywszy, że utwory rozumu i sztuki stanowią rzeczywistą *własność* i że tem samem sprawiedliwość wymaga, aby ta własność przedłużała się do *nieskończoności*, komisya postanawia wyznaczyć komitet redakcyjny dla napisania projektu do ustawy o własności literackiej i artystycznej z tem zastrzeżeniem, aby ów komitet przyjął za podstawę swej pracy zasadę wieczystości.

Komitet zawyrokował: aby właściciele praw autorskich po 30 latach od daty śmierci autora zadawalniali się dochodem 5% od ceny księgarskiej za egzemplarze wszystkich przyszłych wydań. W rozprawach ogólnego zebrania projekt ten uległ zmianie. 30-letni termin wyłącznego wydawnictwa zostawiono jedynie publikacyom rządowym, akademickim lub ogłoszonym przez towarzystwa naukowe; dla dzieł zaś będących własnością prywatną termin ten przedłużono do lat 50 od śmierci autora lub posiadacza jego praw; przyznano tylko 5%. Za życia autora jego własność literacka nie podlega ani sekwestrowi, ani aresztom, ani wywłaszczeniu na użytek publiczny. Własność w wypadkach bezdziedziczności nie przechodzi na skarb. Przez lat 5 od daty pierwszego wydania autorowi służy wyłączne prawo korzystania z tłumaczeń swego dzieła na obce języki. Dalej określono formalne sposoby ubezpieczenia literackiej własności i kary za jej naruszenie.

Na tem stanowisku zatrzymała się sprawa, którą na nowo podjął obecny kongres w Paryżu. Dla rozstrzygnięcia jej zjechali się znakomici pisarze wszystkich krajów, prócz naszego. Polska bowiem literatura nie wysłała ani Kraszewskich, ani Jeżów, ani Supińskich, ani Zaleskich, ani Spasowiczów, ale do tego naszego poselstwa wrócimy jeszcze później.

Z mów otwierających obrady największe wrażenie zrobiły słowa W. Hugo. „Rok obecny—rzekł między innymi sędziwy poeta—nazwać można rokiem władzy. Dokonał on tego, czego chciał. Poprzednie hasło: „wojna” zastąpił nowem: „postęp.” Po przez czarne groźne chmury prześwieca związek narodów. Czyny 1878 r. pozostały całe, nienaruszone. Nie ma w nich nic czasowego, przemijającego... Paryską wystawą dostojny ów rok ogłasza związek przemysłowców; jubileuszem Woltera—związek filozofów; naszym kongresem, związek literatury... Powstaje rozległa federacya pracy we wszystkich jej postaciach; wznosi się wielki gmach ludzkiego braterstwa, którego podstawą są robotnicy i ziemianie, a wieńcem—geniusz człowieka... Zebrałiście się tu ze wszystkich krańców cywilizowanego świata. Znakomite umysły, kochane i szanowane przez swoje narody; słynne talenta, wspaniałomyślni rzeźnicy, których głosu wszyscy słuchają; wielkie du-

Wiedniu naprzykład, wszystkie bez wyjątku listy i posyłki odwożone bywają każdemu z mieszkańców do domu, gdy tymczasem u nas odebranie pieniędzy przez tyle zawsze w polityce awizacye przysparza jeszcze więcej formalności, że często jedna taka sprawa pół dnia czasu zająć może interesantowi. A jednakże poczta jest instytucyą, która z publiczności ciągnie dochody ogromne i ma na to środki, aby zdobyć się na urządzenia odpowiednie racjonalnym potrzebom ogółu. Wśród dzisiejszych skomplikowanych stosunków społecznych i ekonomicznych normalne funkcjonowanie wszelkich środków komunikacyi jest bardzo ważnym czynnikiem pomyślnego rozwoju wielu spraw i interesów. Łatwiej zaś instytucyi posiadającej szerokie środki i obszerną organizacyę zastosować się do potrzeb ogółu, aniżeli tysiącom interesantów ponosić niewygodę i kłopoty, nieodłączne od każdego ważniejszego interesu pocztowych. Najelementarniejsza zresztą logika wykazuje, że im więcej poczta będzie przedstawiać wygody, tem bardziej powiększać się będzie zakres jej czynności, gdy tymczasem dzisiaj w wielu razach interesanci handlowi, którym chodzi o pośpiech w przesyłce pieniędzy, o ile wiemy, bardzo często starają się zawiązywać stosunki finansowe drogami prywatnego pośrednictwa. Trzeba zatem

koniecznie, aby interes ogółu został o ile możliwości uwzględniony w całości, nie tylko w zakresie najbardziej naglących potrzeb, ale w zakresie użytecznych wygód, które są tak pożądane dla ludzi obarczonych pracą i kłopotami w tylu innych stosunkach życiowych.

Chociaż kilka naszych zawsze usłużnych organów wyśpiewało już pochwalne hymny na cześć dołączonej do *Tygodnika Ilustrowanego* reprodukcji drzeworytowej *Świeczników Chrześcijaństwa*, jednakże w tem koleżeńskim rozczuleniu brakowało jednej maleńkiej rzeczy, t. j. kompetencyi sądu. Dla kogo objętość formatu nie jest przymiotem tak imponującym, aby zasłaniał artystyczne niedostatki reprodukcji, ten z pewnością musi przyznać stanowczą wyższość mniejszej, ale daleko bardziej efektownej i artystycznej reprodukcji obrazu Siemiradzkiego, dokonanej przez drzeworytnię *Kłosów*, zwłaszcza jeżeli zestawimy uważnie oba drzeworyty z fotografią. Już na pierwszy rzut oka widzimy, że rytownik *Kłosów* daleko lepiej w ogólnym stosunku i układzie tonów powtórzył rozkład światłocienia oryginału.

Reprodukcya *Tygodnika* chociaż znacznie większa, jest dwakroć pęknięta, monotonna, szarawa, gdy tymczasem reprodukcya *Kło-*

sów nierozbita rzuca się odrazu w oko dosadnie i plastycznie.

Nie wdając się w szczegóły zbyt drobne, zwrócimy tylko uwagę, że w grupkach orgii, rozkładających się u schodów cesarskiego pałacu, w reprodukcji *Kłosów* bardzo dobrze oddanym jest stosunek oświetlenia figur stojących, na które artysta rzucił główny snop promieni, do grup leżących na pierwszym planie, znacznie ciemniejszych. Tymczasem w reprodukcji *Tygodnika* ta przednia grupa leżących greczynek jest tak wycięta, jakby zupełnie była jednakowo oświetlona z figurami stojącymi w pośrodku. Dla oceny różnic dość porównać naprzykład lektkę i drugie skrzydło cesarskiego pałacu, które w większej reprodukcji są szarawe i blade, gdy w mniejszej bardzo efektownie rysują się na tle całości; albo też powietrzne oddalenie ostatniego planu ogrodu, szarzejącego w zmroku wieczornym, bardzo trafnie oddane w drzeworycie *Kłosów*, a słabo w reprodukcji *Tygodnika*. Najslabszą jednak stroną tej ostatniej są głowy płaskie, chybione często w charakterze i cięte wogóle niedosć poprawnie, chociaż większy format przedstawiał tu dla drzeworytnika znaczną wygodę. Modelacya ciała jest także daleko lepszą na mniejszej reprodukcji, co można szczególnie zauważyć w plecach obnażonej bachantki, stojącej w grupie środ-

sze, dążące do światła i postępu — walczycie tylko o pokój. Do Paryża przybywacie jako posłowie królestwa ducha ludzkiego. Pisarze, mówcy, myśliciele, filozofowie, witam Was imieniem Francji.

Narody mierzą się swojemi literaturami. Dwumilionowa armia ginie — Iliada pozostaje. Kserkses miał armię, ale nie miał epopei; Kserkses przepadł. Grecya niewielka obszarem, ale wielka tem, że posiadała Eschylesa. Rzym był tylko miastem, ale Rzym posiadał Tacyta, Lukrecyusza, Wirgiliusza, Juwenala — i zapełnił sobą świat. Mówicie o Hiszpanii — a przed Wami staje Serwantes; wspomnicie o Italii — a zaraz ujrzycie postać Dantego. Wezwijcie Anglię — zjawi się Szekspir. W blasku Paryża świeci obraz Woltera... Jeżeli nie macie praw głosować ustaw, możecie je dyktować. Mówcie to, co sprawiedliwe, wypowiadajcie swoje szczere przekonania, a jeżeli prawodawstwo Was nie usłucha, nie Wy, lecz ono się zniesławi. Literatura — jest rządem ludzkiego ducha nad ludzkim rodzajem.

Książka stanowi własność, cennosc stworzoną a nienabytą, bogactwo, które pisarz dodaje do bogactwa narodu, a więc przedstawia bezsprzeczną własność... Naprzód pisarza okradali, a potem podkupywali, co jednakże okazało się nieużytecznym i daremnym. Autor wymykał się z kajdan. Robiono go ubogim, lecz on pozostawał wolnym. I czyż można było kupić sumienie u Rabelais'ego, Moliera, Pascala? Usiłowano, ale z tego wynikały smutne następstwa. Wiecie, jak opiekowano się literaturą w tak zwanym „wielkim wieku.” Ten wiek opieki nad literaturą i narodem zakończył się tem, że naród pozostał bez chleba a Kornel bez butów.

Ludzkość potrzebuje przede wszystkim światła; światło — to książka. Otwórzcie więc książkę dla wszystkich. Niech ona oświeca i wywiera działanie. Kimkolwiek jesteście i cokolwiek robicie, chcecie uczyć, ożywiać, łagodzić obyczaje, uspakajając dusze — wszędzie rozłóżcie książki. Uczcie, wskazujcie, przekonywajcie, mnożcie szkoły. Szkoły to jasne punkta cywilizacji.

Kiedy troszczyście się o wasze miasta i chcecie być bezpieczni w swoich mieszkaniach — nie zostawiacie ulic bez światła. Pomyślcie nad jeszcze większym niebezpieczeństwem, nad nieoświeceniem umysłów

ludzkich... Nie pozostawiacie w nich ani jednego ciemnego kątku, gdzie mógłby się schronić zabobon, błąd i kłamstwo. Niewiedomość to ciemnota; w niej tuła się zło. Starajcie się o oświecenie ulic, ale nie zapomnijcie o oświeceniu umysłów...

Niech wstecznicy robią, co chcą, oni dla nas niestraszni. Idźcie, działajcie ludzie przeszłości, wy w nas wzbudzacie tylko ciekawość. Grzmijcie swoją kłatwą przeciw swobodzie sumienia, słowa, trybuny, przeklinajcie prawo obywatelskie, tolerancję, naukę, postęp. Układajcie syllabus, przygotujcie zasłony tak wielkie, ażeby niemi można było zakryć słońce.

Cała mądrość ludzka zamyka się w dwu słowach: zgoda i przymierze. Jesteśmy tu panowie między filozofami. Skorzystamy ze sposobności, nie będziemy się krępować, wygłosimy prawdy w całej ich nietykalskości. Oto jedna z nich: boleścią ludzkiego rodzaju jest nienawiść jednych dla drugich. Nienawiść jest matką wojny. Zapłaćmy matce i córce ich własną monetą: wypowiedzmy wojnę wojnie.

Są to słowa z formy piękne, z pobudki szlachetne, ale ileż w nich paradoksalności i marzycielstwa! Pomyślimy tylko nad ostatnimi. W. Hugo ludzi się, że dziś wojnę zgasić można, dziś, kiedy w milionach krew bije żywym tętnem na myśl walki, kiedy order na polu bitwy uzyskany jest przedmiotem najwyższej dumy i najgłębszych pożądań. Kto chce „wypowiedzieć wojnę wojnie,” niech ją lepiej wypowie naturze ludzkiej, z której ona dotąd wynikała. Przestańmy patrzeć różowo na człowieka, a nie będziemy widzieć czarno objawów jego życia. Marzenia o „wiecznym pokoju,” są marzeniami o wiecznym spokoju w naturze. Marzył o nim stary Kant i określił nawet warunki potrzebne dla takiego stanu. Ale kiedy warunki takie ludzkość spełni, kiedy polityka zrzeknie się bodajby tylko zasad: *fac et excusa, si fecisti nega, divide et impera* i t. d.? — nie mówiąc o innych trudniejszych.

Nie oddalajmy się jednak od naszego przedmiotu i rozpatrzmy przede wszystkim słuszne granice literackiej własności.

ZE SZWAJCARYI.

Pozwólcie mi przerwać tok dotychczasowego opowiadania mego i poświęcić list dzisiejszy opisowi narodowej uroczystości, którą Genewczycy obchodzili przez trzy dni na cześć wielkiego swego współobywatela Jana Jakóba Rousseau, w setną rocznicę jego śmierci. Już w pierwszym liście wzmiankowałem, że mało gdzie z taką okazałością, tak czynnym i szczerym ogółu udziałem święcą rozmaite historyczne pamiątki, jak w Szwajcaryi. Nie od rzeczy więc będzie skorzystać ze zdarzonej sposobności i potwierdzić ową wzmiankę przykładem.

Nie mam potrzeby opowiadać, kim był Rousseau i co czynił dla ludzkości, tem więcej, że *Przeгляд* mnie już wyręczył. O jego dodatniej i w plony obfitej działalności, jako myśliciela, dziś ci tylko wątpić mogą, co gdyby żyli byli w czasach, kiedy katechizm układano, domagałby się z pewnością nie zaniedbali, aby między grzechami przeciw Duchowi Świętemu na pierwszym miejscu wymieniono postęp. A że ludzi takich mało jest stosunkowo w Szwajcaryi, a mniej jeszcze daleko w Genewie, to nie dziw, że tu, jako w rodzinnym mieście Rousseau'a, powstała myśl uczczenia pamięci pisarza, co godzien pod każdym względem stanąć w orszaku tych, których dźwiękami postępu zowiemy. Myśl ta zrodziła się najprzód w łonie instytutu genewskiego, złożonego z miejscowych uczonych, literatów, artystów. Miano rozpisac konkurs na krytyczny rozbiór dzieł nieśmiertelnego filozofa, odbyć uroczyste posiedzenie instytutu i zakończyć obchód biesiadą i mowami. Przykład jednak Francji, gdzie uroczystości ku nczczeniu pamięci Voltaira'a przybrała takie rozmiary, iż stronnictwo, o zbawienie dusz ludzkich zawsze i wszędzie troskliwe, nie na żarty lękać się zaczęło, aby za karę udziału w niej na kraj nie spadło dziesięć plag egipskich, był bodźcem dla kilku Genewczyków do postawienia wniosku o nadanie skromnemu obchodowi literackiemu znaczenia festynu narodowego. Wniosek ten znalazł przychylny u ogółu przyjęcie i silne poparcie, a w miarę jak się nim zajmowano, rosła ochota do urzeczywistnienia go w jak najszerzych i najświetniejszych rozmiarach.

kowej, które na drzeworycie *Tygodnika* przedstawiają się bez życia, jakby wypchane z waty, gdy tymczasem na drzeworycie *Kłósów* oddane są w dobrej i harmonijnej kombinacji płaszczyzn. Wogóle można powiedzieć, że pod względem ogólnego efektu i wykończenia szczegółów reprodukoya mniejsza jest zupełnie artystycznym, jednym z najpiękniejszych dzieł drzeworytnictwa naszego i przynosi zaszczyt rylcowi p. Holewińskiego. Reprodukoya *Tygodnika*, nie powiem całkiem chybiona, ani nawet bardzo mierna, ale w każdym razie znakomicie słabsza. Nie wątpimy, że tak zdolny rytownik, jak p. Puc, potrafiłby ją wykonać daleko lepiej, czego próbkę widzimy naprzykład w przesłiznie ciętej figurze bachantki, opartej z niewysłowioną lubieżnością i powabem na przednim piedestale balustrady schodów.

Bezwątpienia na niekorzyść tygodnikowej ryciny wpłynęły także ogromne trudności techniczne, jakie towarzyszyły odbijaniu tak wielkiej kliszy; sprawiedliwość jednak wyznać nam każe, że pomimo powagi formatu nie daje ona tak dobrego pojęcia o oryginala, jak piękna reprodukoya *Kłósów*. Wogóle można powiedzieć, że o ile literacka strona *Tygodnika* przedstawia nieporównanie większą wartość i żywotność w stosunku do nieudolnie i spekulacyjnie redagowanych

Kłósów, o tyle w artystycznej działalności sympatycznego czasopisma, które dało początek naszej sztuce drzeworytniczej, daje się widzieć w ostatnich czasach mniejsza niż dawniej staranność, granicząca czasem z niedbalstwem.

Dla przypodobania się przyszłym adonisom, których ochęci niezawsze idą w parze z możnością, panowie Legouvé i Merimée napisali komedyjkę „Kwiat z Tlemcenu,” przedstawioną niedawno na scenie teatru letniego. W tym artystycznie pięknym, ale życiowo niedorzecznym utworze widzimy jak pewna zacna i powabna wdówka spłaca dług serdeczny dawnemu swemu kochankowi ofiarowaniem ręki i serca swej młodziutkiej córki. Wprawdzie panienska, ołsniona marsowemi przymiotami pułkownika, poczuła ku niemu istotnie coś nakształt miłości, ale mameczka, jeśli ma choć trochę zdrowego poglądu na prawa młodości i warunki szczęścia małżeńskiego, powinna zastanowić się dobrze, czy miłość ta nie jest niezdrowym kaprysem rozmarzonej wyobraźni, tak często pojawiającej się w dzisiejszym pokoleniu nerwowych kobiet. W każdym razie pani baronowa powinna skrupulatniej wybać naturę owego uczucia a nie posługiwać się niem tak skwapliwie w celu spłacenia zaległych długów

na swej hipotece sercowej. Obyczajowa strona tej komedyi jest jednym więcej dowodem, jak w pewnych warstwach społeczeństwa francuzkiego niezdrowo pojmowaną bywa kwestya małżeńska, kiedy taki moralista i badacz obyczajowy jak Lego uvé mógł idealizować podobnie nienaturalną sytuację, co jest przeciwne prawami natury wskazanej prawdzie, że młodość powinna się kojarzyć tylko z młodością, że małżeństwo powinno być związane w chwili bujnego wykwitku fizycznych i duchowych sił obu płci, gdyż tym tylko sposobem może być podwaliną prawdziwego rodzinnego szczęścia, oraz pomyślnego rozkwitu następnych pokoleń. Prawdę tę pojęli doskonale Anglicy, którzy rzadziej niż inne społeczeństwa kazały małżeństwa materyalnym frymarkiem, studzą je chłodem konwencyonalności obyczajowej, albo pczą nienaturalnym kojarzeniem temperamentów i charakterów, i dla tego też cieszą się taką zdrową atmosferą rodzinnego życia i krzepkością swej rasy.

Podstarzali adonisowie i don-zuanowie, nieznaający na schyłku życia właściwszych celów nad sercowe zabiegi, mogą być bardzo radzi z tego, że panienska świeża jak pączek dostaje się podtataśiałemu jegomości, ale wolelibyśmy widzieć zdobycie jej serca dokonaniem przez dziarskiego chłop-

Nie godzi mi się tu pominąć milozieniem mimowolnej wprawdzie, ale niemniej ogromnej usługi, jaką sprawe dojścia do skutku uroczystości w tych rozmiarach, w których się odbyła, oddała garstka tutejszych ultramontanów. Rej wodzący w tem stronnictwie cierpią, jak się zdaje, wszędzie na wątrobę; inaczej bowiem trudno wytłomaczyć *hanc atram bilem*, z jaką występują w sporach z innymi stronnictwami. Wątpię jednak, aby gdziekolwiek z taką zawziętą nienawiścią, z takim zwierzęcem rozjuszeniem się i tak gorzką złością rzucali się na myśl dla nich wstrętną, jak to uczynili w Genewie na wniosek w mowie będący. Od dnia pojawiania się jego do wili uroczystości organ ich *Courrier de Genève* pluł karczemnym łajaniem, straszliwymi przekleństwami, błotem, dla obrzucenia niem i Rousseau'a i tych, co jego rocznicą się zajmowali, kąsał, drapał na prawo na lewo i rzekłbyś, utopić chciał całą Genewę w jadawitej pianie, co od wściekłości z ust mu się toczyła. Ciągnęło się to przez kilka miesięcy, i zawsze z nową jakąś obelgą występował. Nie wiedziałeś, co w nim więcej podziwiać, głęboką znajomość słownika łajania, którymi człowieka o dziesięć stopni niżej psa się stawia, czy niezrównaną zmyślność w wynajdywaniu oszczerstw, z których obmyć się nie ma, zda się, podobieństwa, czy wreszcie to długie wytrwanie na stanowisku żółciowego nastroju ducha, które zdolne jest fizycznie podkopać najsilniejsze nawet organizmy ludzkie.. Oto króciutki ustęp artykułu, ogłoszonego w tem piśmie 29 czerwca tj. w przeddzień festynu; „J. J. Rousseau, którego pamięć czoic zamierza genewskie stronnictwo rządowe, był złodziejem, próżniakiem, wódczycą, kłamcą, oszczercą, przekupnikiem swego sumienia, szarlatanem, *un concubinaire* (uwalniam się od tłumaczenia tego wyrazu), ojcem, który się wyrzekł pięciorga dzieci i opuścił je, człowiekiem bez ojczyzny, który się wyrzekł na zawsze i nazwy i praw obywatela genewskiego. Miałoby być prawdą, aby ten bohater wszystkich tych demonstracji polityczno-religijnych, które się przygotowują, był nadto jeszcze *waryatem* w lekarskim tego słowa znaczeniu?” I postawiwszy to obłudne pytanie, *Kuryer* daje nam twierdzącą odpowiedź w wyciągu z niby-naukowego studium nad życiem Rousseau'a jakiegoś angielskiego lekarza.

Prostem tej taktyki następstwem było to, że komitet, zarządzający uroczystością, za-

rzucony został oświadczeniami towarzysztw rozmaitych, iż pragną czynny wzięść udział w festynie; że potworzyły się we wszystkich dzielnicach miasta osobne komitety, które zajęły się dekoracją ulic, urządzeniem wspólnej biesiady pod gołym niebem, zbiorem składek na wydatki i t. p., że sejm kantonalny upoważnił rząd do wydania ze skarbu 10,000 fran. na koszt dekoracyjne; że rada gminna genewska wyznaczyła na ten sam cel 13,000 fr.; że inne gminy w miarę możliwości także z pieniędzmi pośpieszyły datkami; słowem, że dano komitetowi centralnemu możność urządzenia festynu, jakiego w Genewie nikt nie pamięta, i który pod względem świetności nie ustępuje festynom w państwach, posiadających nie 90,000, jak kanton genewski, lecz kilkadziesiąt milionów mieszkańców.

Do oświetlenia uroczystości przyczyniła się nie mało także ta okoliczność, że i młode pokolenie Genewian wzięło w niej udział. Na początek lipca przypadały właśnie uroczyste po szkołach rozdawnictwa nagród. Postawiono więc wniosek, aby wszystkie szkoły kantonu zebrać razem i urządzić im wspólny festyn na placu, dla obchodu stu-letniej rocznicy przeznaczonym. Nie obyło się i tu bez zaciętej stronnictw walki. Prócz ultramontanów, wystąpili w szranki także prawowierni kalwini, t. z. *momierzy*, i hajze razem na Soplicę! Prócz artykułów dziennikarskich, posypały się jak z zanadra broszury i pamflety na temat: *mamyż dzieci nieszę posyłać na uczczenie pamięci tego, który swoje potomstwo oddawał do domu podrzutków?* Przeglądając je, cisną ci się mimowolnie na usta słowa francuzkiego senatora p. Pelletan, który drugiego dnia uroczystości miał tu w jednym z kościołów wykład publiczny o Rousseau i powiedział. „Gromada szakałów, zbiegła z sakrystyjnej menażeryi, usiłuje ściągnąć Rousseau'a z Panteonu i rzucić go do rynsztoku!” Elukubracje te jednak przyczyniły się chyba do tego, że miasto spodziewanych kilku tysięcy, wzięło udział w uroczystości przy najmniej 10,000 dzieci, a liczba ich byłaby nierównie większą, gdyby powodując się higienicznymi względami, nie wykluczono z obchodu uczniów i uczennic niżej lat ośmiu.

Nie zawadzi, nim przystąpię do właściwego opisu festynu, powiedzieć jeszcze słów kilka o praktycznym braniu się do rzeczy

Szwajcarów przy urządzaniu podobnych dochodów. Wszystko im w takich razach idzie jak z płatka, wszystko bywa przewidzianem, wszelkie trudności jak najumiejtniej usuwane. Wielkie bo też oni pod tym względem mają doświadczenie. Nie ma miasta kantonalnego, w którymby co roku nie obchodzono jakiejś pamiątki historycznej, jakiegoś ludowego święta. Zurych ma swoje *Sechseläuten*, Bazyleja—trzydniowe zastupy, Genewa—swą historyczną *Escalade*, Glarus—coroczny obchód bitwy pod Näfelo i t. d. Dodajcie do tego związkowe uroczystości strzeleckie, obchodzone co dwa lata w innem coraz mieście, festyny śpiewaków, gimnastyków, podoficerów, zjazdy rozmaitych stowarzyszeń, całą Szwajcaryą obejmujących, a pojmiecie łatwo, że było na czem się wyćwiczyć. To też skoro postanowionym zostanie jakikolwiek obchód, tworzy się z obywateli naprzód komitet centralny i układa program. Wykonanie każdej części takowego zostaje potem powierzone osobnej komisji, która w wydzielonem sobie zakresie pracuje samodzielnie. Wykonaniem programu festynu, o którym mowa, zajmowało się naprzykład nie mniej jak trzynaście komisji: obiadowa, dekoracyjna, muzyczna, odczytowa i t. p. Nie zapomniano nawet o komisji deszczowej, t. j. tej, która się miała zająć zbadaniem kwestyi, co i jak zmienić wypada w programie, na wypadek dżdżystej pogody. Z czynności swych komisje te zdają sprawę komitetowi centralnemu na ogólnych zebraniach, i nie dziwnego, że praca tak umiejętnie podzielona idzie jak najgładziej, zwłaszcza że w takich wypadkach ani rządowe, ani gminne władze, ani ogół wreszcie zarządzającemu komitetowi czynnej pomocy nie zwykły odnawiać. Rzekłbyś, rzeczpospolita mrówek, gdzie każdy czemś się do ogólnej budowy przyczynia.

Przeciwnicy uroczystości na cześć Rousseau'a, widząc, jak mały wpływ wywierają ich paskwile, ostatnią nadzieję w niebie pokładali, tusząc, że im przyjdzie na pomoc z niepogodą. W rzeczy samej lato mamy niezwykle dżdżyste; można się było obawiać, że życzenia ich choć w części się ziszczą. W nocy z 29 na 30 czerwca lunął deszcz ulewny, a ciężkie chmury pokrywały jeszcze niebo aż do dziewiątej godziny z rana. Nie zważając na to, Genewa przystroiła się jak istna czarodziejka. Każda

ca, z którym będzie żyć dobrze i rodzić krzepką i miłą dźwiatwę. Swoją drogą autorowie komedyjki umieli opracować tak zgrabnie tę anomalię życiową, że nadali jej pozór prawdy i poetyczności, zwłaszcza dla tych umysłów, które dla estetycznego wdzięku gotowe są przebaczyć bezmyślność lub fałszywe ułożenie utworom literackim.

Bez tych restrykcyj jednak komedyjkę tę można było słuchać z roskoszą, głównie dla słodziutkiej i miłutkiej gry panny Popiel, której arcy-przyjemną mamą była p. Rakiewicz, typową nauczycielką p. Ostrowska, a p. Leszczyński szczęśliwym naprawdę zdobywcą serca.

W teatrach letnich teraz na porządku dziennym płacziwe melodramata i dramatyczne perory na temat „okropne skutki płochości”. W Belle-vue widzieliśmy w podobnym guście francuzki dramat pp. d'Emery i Rouvrer *Stulecie*, naładowany dramatycznymi i płacziwymi efektami, pełny wiarołomstw, zdrad, podstępów, ofiar niewinnie cierpiących, a przyczyną tych wszystkich okropności jest mały, nieobecny na scenie bęben, będący owocem jednej chwili zapomnienia się młodej mężatki.

W tym tuzinkowo efektownym dramacie

p. Waliszewski zagrał przywoicie rolę stu-letniego starca, będącego tutaj główną postacią, a p. Morozowicz rozwinął komikę w szlachetnym gatunku.

W innym zupełnie guście jest melodramat angielski Philipsa *Nelly Armroyd*, przedstawiony przez trupę lwowską w Eldorado. Jest to sztuka na pół rubasznie komiczna, na pół kapiąca łzami, sentymentalna i przesycona od początku do końca czysto angielskim morałem, który nie ma nic wspólnego z ponętą i niby cnotliwym wyrokowaniem francuzów na temat zakazanego owocu. Pomimo artystycznej bezkształtności, jako sztuka ludowa, dramat ten jest budującym i wzruszającym.

Grano go dość słabo, chociaż pani Zimayrowa, w roli rezolutnej i muskularnej Tiddy, okazała, że w rolach ludowych jest prawdziwie dobrą aktorką.

Z dziedziny literatury biozącej zaznaczyć nam wypada ciekawą pracę D-ra med. S. Perkowskiego z zakresu fizyo-psychologii: *Przyczynki do usitowań określenia czynności mózgu w związku z objawami umysłowemi człowieka*. Rozprawka ta, będąca odbitką z *Pamiętnika Warsz. Tow. Lek.* za r. 1877, podaje w sposób jasny i treściwy opis ostatnich badań, dokonanych nad funkcjami mózgu

ludzkiego, w stosunku do nierozwikłanej jeszcze zagadki ludzkiej inteligencji.

Z pracy D-ra P. okazuje się, że nauka wykryła pewien częściowy związek między rozmaitymi objawami świadomości a działalnością niektórych części mózgu, obalając jednak frenologiczne teorie umiejscowiania wyłącznego pewnych funkcji szczegółowych w pewnych częściach organu będącego wspólnym siedliskiem duchowego życia. Bardzo ciekawem jest zakończenie broszury, w którym autor zebrał przekonujące fakta i argumenta na potwierdzenie hipotezy, że wrażenia zapisują się niezatartymi śladami w komórkach czuciowych naszego mózgu, który tym sposobem staje się prawdziwym magazynem materiałów myśli. Chociaż autor, streszczając badania naukowe, niewiele dodał od siebie, jednakże praca jego wypowiedziana jasnym i pięknym językiem, wobec ubóstwa naszej literatury w tej gałęzi, posiada niezaprzeczoną wartość. Pragnęlibyśmy tylko, aby autor z rozumowań specjalnie naukowych zechciał w zupełności wykluczać pojęcia teologiczne, które mogą stanowić w danym razie wymowny argument ad hominem, ale do ścisłości badawczej bynajmniej nie pomagają.

W formie broszurowej pojawiło się także studium pani Marrené: *Zrozpaczeni w litera-*

z dzielnic chciała sąsiednie prześcignąć. Z każdego okna, każdej niemal kamienicy powiewały chorągwie najrozmaitszych rozmiarów, to czerwono-żółte, kantonalne, to ozorwone z białym krzyżem, związkowe, to trójkolorowe, francuskie, amerykańskie, wreszcie angielskie i włoskie, stosownie do mieszkańców, którzy ten lub ów apartament zajmowali. Tu owdzie wśród pstrokaczny przyjemnie oko wabił także amarant z bielą. Sklepy przystroiły się w girlandy z liściami i kwiatów, z dachów i ganek hoteli powiewały zgodnie obok siebie chorągwie wszystkich prawie narodów, gęste łuki tryumfalne i szpaler żerdzi z flagami i herbami wszystkich kantonów znaczyły na ulicach drogę, którą orszak w uroczystym pochodzie miał przechodzić. Najpiękniej ze wszystkich ubrała się ulica Rousseau, na której znajduje się dom, gdzie bohater dnia przed 166 laty ujrzał światło dzienne i z kąd, jak głosił napis na jednej z bram tryumfalnych, jako włóczęga w świat się puścił, aby się stać dźwignią dla niego.

Wkrótce przed dziesiątą, jakby na dany znak, wypogodziło się niebo, a słońce czerwcowe oblało blaskiem i weselem świątecznie przystrojone miasto, o którym słusznie mówią, że jest najmniejszym z wielkich, a największym z małych miast. Orszak, złożony z 119 stowarzyszeń, każde z swoją chorągwią (między niemi także tutejsze polskie towarzystwo bratniej pomocy), wyruszył w uroczystym pochodzie przez miasto, poprzedzony rządem kantonalnym i miejskimi władzami, eskortowany przez straż ogniową, przepłatany kapelami, i po dwóch godzinach dotarł do wielkiego placu, gdzie wśród tysiąca flag i łuków tryumfalnych, pod stuletnimi lipami, na przestronnym, umajonem podniesieniu stał olbrzymi posąg Rousseau'a, z gipsu umyślnie na tę uroczystość wykonany. Orszak przy dźwiękach szwajcarskiego hymnu narodowego, wykonanego przez wojskową muzykę, przy entuzjastycznych okrzykach niezliczonego tłumu, który obszerny plac musztry zalegał, defilował w wzorowym porządku przed posągiem, a w miarę jak się posuwały pojedyncze towarzystwa, odkrywały się głowy i skłaniały chorągwie ku ziemi na znak czci i uwielbienia. Był to widok istotnie okazały. Po krótkiej przemowie naczelnika rządu, chór śpiewaków wykonał jeszcze hymn, na cześć Rousseau'a ułożony, — i tłum

my się rozeszły, aby zasiąść do stołów, które na rozmaitych punktach miasta dla wspólnej biesiady pod gołym niebem przygotowano. Po południu urządzono wycieczkę na jezioro na przystrojonym we flagi statku parowym. Wieczorem ulluminowano wspaniałe nadbrzeżne ulice i spalono na wodzie obszerne ognie, których czarujący efekt daremnie siliłbym się opisać. W ogrodach publicznych przy magicznym blasku różnobarwnych latarni rozdawały się do północy dźwięki koncertowych kapeli.

Drugi dzień uroczystości, t. j. 1 lipca, przywłaszczyła sobie tutejsza Akademia, od dwóch lat do godności wszechniczy wyniesiona. Na uroczystym posiedzeniu we wspaniałej auli przyjmowano delegatów innych trzech wszechnic szwajcarskich, przy czym oczywiście nie obyło się bez mów świetnych i uroczonych, jak zapewniamy ci, co je słyszeli. W bankiecie narodowym, urządzonym dnia tego w przestronnym gmachu wyborów (palais électoral), wzięło udział coś kilka tysięcy biesiadników. Po południu w rozmaitych kościołach obok koncertów wokalnych odbyły się popularne odczyty o działalności Rousseau'a i wpływie jego na rozwój i postęp myśli ludzkiej. W teatrze odegrano wieczorem dnia tego operetkę *Le divin du Village* i jakąś komedię Rousseau'a.

Rano trzeciego dnia miały miejsce na jeziorze wysejgi na czółnach, urządzone za staraniem kilku stowarzyszeń nautycznych genewskich i lozańskich. Po południu odbył się festyn dziecienny, najwspanialszy, jaki podczas mego pobytu w Szwajcaryi widziałem kiedykolwiek. A iluz to im się już przyglądałem!

Między licznymi, nadzwyczaj sympatycznymi objawami życia społecznego w Szwajcaryi, czuła opieka i rozsądne względy, które mi tak władze jak i ogół cały Szwajcarów otacza młode pokolenie, zasługują na jak największe uznanie. Możeż być zresztą inaczej w ojczyźnie autora *Emila* i Pestalozzi'ego? Nic z tego, cokolwiek zblizka lub zdala tyczy się dzieci, nie jest tu lekko traktowanem; wszyscy przeniknięci do głębi myślą, że młode pokolenie, to przyszłe obywatelstwo kraju, to przyszły wszechwładny naród, od którego losy ojczyzny zawisły. Genewa ma coś cztery miliony franków dochodu, półtora miliona z tego wydaje na publiczne wychowanie; w tym mniej więcej stosunku do ogólnego dochodu stoi rozchód

na szkoły we wszystkich innych kantonach. Podczas festynów dla dzieci wszystko jest na nogach. Rząd, władze gminne, wojsko, stowarzyszenia, ludność wreszcie cała — walczą o lepsze, aby dzieciom najbardziej uprzyjemnić dzień dla uweselenia ich przeznaczony. Sama przyroda nawet zdaje się im sprzyjać więcej, niż dorosłym; nie pamiętam bowiem festynu dziecinnego, podczas którego niebo nie jaśniałoby prześlicznej pogody blaskami. Od świtu już dnia trzeciego krzątano się około odświeżenia dekoracji, tu owdzie popsutych i zwiedłych, a południe zastało już miasto tak przystrojone, jak pierwszego dnia uroczystości. Tłum w dwójnasób liczniejszy, niż dawniej zalegał ulice, przez które orszak dziecinny miał przechodzić. O godzinie drugiej wystrzały armatnie znać dały, że pochód ruszył z uniwersyteckiego ogrodu. Jeżeli orszak pierwszego dnia wzbudzał podziwienie, pochód dzieci w entuzjazm nie do opisania wprawiał widzów, żywy szpaler po ulicach tworzących. Na czele oddziału żandarmów, którzy orszakowi przewodniczyli, posuwał się poważnie ogromny tambour-major, człek z niedźwieżnią czapką, najmniej 7 stóp mający. Dalej kapela wojskowa. Za nią władza gminna w komplecie, w balowym stroju. Tuż oddział piechoty. Za nim rząd poprzedzony przez czterech woźnych państwowych w czerwono-żółtych płaszczach i stosowanych kapeluszach. Wreszcie wyższa szkoła panienek w bieli, z bukietami w ręku, w rzędach po ósm, z nauczycielami i nauczycielkami na przodzie i z boków. Znowu kapela, znowu szkoła dziewcząt, potem chłopców i tak dalej, dalej przez dobre półtorej godziny. Opisać radość dzieci, którą jaśniały świeże ich twarzyczki i rozczulenie rodziców, co z młodszymi potomkami na ręku, barkach i plecach, stali w szeregu widzów, niepodobna. Na wszystkich obliczach jaśniało jedno ogromne niebo wesela, nieczem niezmaczonego i paliło się jedno słońce uczucia rodzicielskiej miłości. Przymglone oczy starców nawet błyskały ogniem zapomnianym, a zwiędłe usta babek na widok tyłu wnucząt szeptały wśród melancholijnego uśmiechu. Nie, świat długo jeszcze po nas nie wymrze!

Orszak udał się przed posąg Rousseau'a i zasypał go kwiatami i wieńcami. Potem posiliwszy się u zastawionych pod lipami stołów, podzielił się na grona, rozsypał po

turze, w którym autorka stara się scharakteryzować objawy pesymizmu poetycznego naszej literatury w stosunku do podobnych objawów twórczości poetycznej nowoczesnej innych narodów. O pracy tej daliśmy już szczegółowe sprawozdanie po wygłoszeniu jej przez autorkę na katedrze publicznej, a przeczytawszy ją ponownie nie czujemy potrzeby modyfikowania tej opinii.

P. B. Lesman, znany wydawca *metod* uczenia się obcych języków według systematu Ollendorfa, puścił w świat *Gramatykę Angielską* wraz z odpowiednim do praktycznych ćwiczeń *kluczem*. Nie będziemy się zastanawiali nad użytecznością tej publikacji, gdyż ją już poprzednie w tym rodzaju *metody* dostatecznie określiły.

Przedrukowano świeżo z „Izraelity” powieść p. Malwiny Meyersonowej p. n. *Z ciasnej sfery*. Krążek, w którym obracają się odtworzone przez autorkę postacie, jest rzeczywiście ze względu na obszar dość szczyt pływ, ze względu na duchową żywotność starym i zatęchłym. Rzecz dzieje się zrazu w jakimś ustronem, wołyńskim prawdopodobnie, czy podolskim miasteczku, a następnie w Gdańsku — na końcu zeszłego i początku bieżącego stulecia. Rabin Lejb, jego córka Belunia, zięć Elias i wnuczka

Speranza — oto główni bohaterowie opowiedzianych przez panią M. rodzinnych dziejów. Czytelnik, któremu obca jest atmosfera, jaką oddychają nasi wyznawcy Mojżesza, znajdzie tu sporo szczegółów, niezawsze wprawdzie zajmujących, ale o tyle nowych, że dadzą mu one poznać charakterystyczne znamiona żydowskiej arystokracji, nie tej, co ubiera się modnie, gra na giełdzie, proteguje literaturę i mówi po niemiecku, lecz owej dawnej, co to szczycąc się uczonymi antenatami, handlowała zbożem, i w atlasowym hałacie a czapce sobolowej nad Talmudem po całych dniach ślepczała. Chociaż ta „ciasna sfera” wcale sama przez się ponętną nie jest; zdrowy wszakże rozum zdołał ją należycie osądzić, a talent opromienić i ukwiecić. Autorka pragnie rozszerzyć widnokrąg moralny swych współwyznawców, zniszczyć ową ostrą linię zakłętą tego koła, w którym kosztnieje wszelki ruch umysłowy a stadła małżeńskie z zawiązanymi kojarzą się oczyma. Pomimo to okazuje ona dla zeszlowieczonych patryarchów rodu i plemienia tyle szczerego ciepła, że śmiało pod tym względem może iść w zawody z naszymi Polami i Pługami.... Umiłowaniu przeszłości towarzyszy sąd trzeźwy i pełne nadziei zapatrzenie się w przyszłość. Pani M., jako żydówka, przechyla się w swej powieści ku zasadom owe-

go mędrca Hillela, który na kilkadziesiąt lat przed Chrystusem głosił w ziemi hebrejskiej naczelną Chrystusową zasadę; jako obywatelka, żąda ona, jeśliśmy ją dobrze zrozumieli, aby ciepły prąd postępu, wraz z tętnem życia narodowego, uczcił i na właściwą drogę wywiódł zamkniętą dotąd w „ciasnej sferze” gromadkę. Powieść pod względem artystycznym zadowolniła nas prawie zupełnie. Można by jej tylko zarzucić jednobarwność obrazów, niewykończoność pewnych charakterów (np. domorosłego mędrca Akiwy), oraz tu i owdzie brak harmonii między stylem rozmawiających osób a właściwą im rolą. Usterki te jednak stanowczo ustępują zaletom, do których zaliczamy: prawidłowy rozwój narysowanych postaci, czysty, płynny język, i w drugiej osobliwie części uwydatnione — szczęśliwe rzuty powieściowego pędzla. Chwała niech będzie Jehowie na wysokościach za to, że przedstawiciele płci pięknej wyznania mojżeszowego w taki sposób rozwiązuje usta....

ogrodzonym placu i igrał tu aż do siódmej godziny pod dozorem nauczycieli. Ogrodzenie otaczali tłumnym wiankiem rodzice. O siódmej każda szkoła udała się na przeznaczone dla niej miejsce, dokąd pospieszili także rodzice lub krewni, aby z rąk nauczycieli dzieci swoje odebrać. Nastąpiła iluminacja miasta, a przy posągu Rousseau'a spalono sztuczne ognie. Niebo przez całe trzy dni sprzyjało jak nie można lepiej uroczystości. Dopiero gdy posąg Rousseau'a oświecono bengalskim ogniem i kapela wojskowa przy oklaskach niezliczonego tłumu zagrała hymn narodowy, z nad Jury nadszły gęste błyskawice gzygżaki a od huku dział, zwiastujących koniec festynu, odróżnić się dawały oddalone grzmoty. Pochód z pochodniami ruszył po ulicach już pod chmurami, pod które wznosiły się długie jeszcze okrzyki tłumów: Niech żyje Genewa! Niech żyje związek szwajcarski!

PIĘKNA.

Dramat w 4-ach aktach.

Wł. POKOŃSKIEGO.

SCENA IV.

ZENON i EMILIA.

ZENON.

To ja na państwa poczekam. (zatrzymuje się na progu—do Emilii, która odstąpiła woalkę). Wehdoż tu, nie przypuszczałem, że będę nieposłusznym pani.

EMILIA (zbliżając się do Zenona).

Owszem, szczęśliwie odgadłeś pan moją wolę, gdyż właśnie chciałam zalecić służącej, ażeby pana prosiła o poczekanie u nas do powrotu męża, który sobie to zastrzegł.

ZENON (patrząc na zegarek).

Kwadrans tylko zostaje mi czasu, bo o ósmej muszę być w domu i przygotować się z Henrykiem do podróży.

EMILIA.

Dokąd i na długo?

ZENON.

Do Londynu—może na zawsze.

EMILIA.

Cóż panowie tam robić będziecie?

ZENON.

Henryk będzie się przygotowywał do domu obłąkanych, a ja czernić będę papier moimi powieściami, z których jedną, już gotową, obiecała mi pani pozwolić sobie przypisać.

EMILIA.

Dziękuję panu za ten zaszczyt.

ZENON.

Ponieważ nie jestem pewien, czy w powieści tej znajdzie pani dla siebie zaszczyt, więc chociaż kilkoma słowy jej treść określe (patrzy na zegarek). Prawdopodobnie i pani dąży na ósmą, więc jeszcze dziesięć minut zabrać mogę. Przedstawiam kobietę piękną, żonę młodego i zanego człowieka, matkę ślicznej córeczki...

EMILIA.

Usiądźmy.

ZENON.

Kobietę, która mimo spokojnego temperamentu, uczciwych zasad, przywiązania do męża i dziecka stała się dobrowolną ofiarą uwodziciela.

EMILIA (słabym głosem).

Jestże to prawdopodobne?

ZENON.

Zobaczmy. Bohaterka moja—według słów jednego z jej wielbicieli—jest tak urocza,

że chyba zapatrzona w nią planety wolniej biegną i w drogach swoich błędzą, że nieraz przybita jej spojrzaniem gwiazdy z miejsca się nie ruszają, że często olśniona jej pięknoscia słońce z nieba w porę zejść zapomina. To też pociąga ona ku sobie jednego ze znajomych, który dla niej porzuca narzeczoną, drugiego, który zaniedbuje żonę, trzeciego, który za cenę wszelkich wysiłków postanawia ją uwieść. Właściwie dążą do tego wszyscy, ale najśmielszy najprędzej i najjaśniej idzie do celu. Nie znudziłem jeszcze pani?

EMILIA (coraz słabiej).

Mów pan.

ZENON.

Odurzona kadzidłami nie dostrzegała po za ich dymem ani własnego, ani cudzego niebezpieczeństwa. Nie widziała, że poświęcenia przyjaciół dla jej męża były tylko słabo upozorowanymi środkami podstępnej zblizenia się do niej; że po każdym jej zalotnym uśmiechu smutna łza z oczu innych kobiet spływa. Uczucia, jakie swą pięknoscia wzbudzała, tak ją przyzwyczaiły do hołdów, że je uważała za naturalną, za obowiązkową dla wszystkich a konieczną dla siebie daninę. Gdyby najuboższy żebrak był jej przyniósł najwspanialszą perłę, nie pomyślałaby nawet, z kąd ją wziął, lecz wierzyłaby, że ją dla niej mieć musiał. Kochała męża i dziecko, ale wzajemna miłość tych dwu istot nie wystarczała jej nienasyconemu pragnieniu uwielbień. Była za piękną na to, ażeby potrzeby swego serca w przywiązaniu żony i matki zadowolnić mogła. (patrzy na zegarek).

EMILIA (j. w.).

Nie spiesz się pan.

ZENON.

Gdy już wiele węzłów nieświadomie przrywała, w otoczeniu jej zjawił się stary, doświadczony, z naturą ludzką obeznany człowiek, który postanowił uratować swego oczarowanego przez nią siostrzeńca i powrócić go zrozpaczonej kochance, wreszcie rozświecić samej sprawczyni ich losu własny jej upadek. Wkrótce jednakże przekonał się, że na swoją chęć liczył za wiele. Bo nietylko ów siostrzeniec w walce życie swoje zlał, nietylko jego narzeczoną samobójczo je sobie skróciła, nietylko czarodziejka uroku swego z nikogo nie zdjęła, ale go nawet przez chwilę na tego, który ją chciał ocalić, rzuciła. Gdy sam lekarz zachorował, zrozumiał słabość innych. Zrozumiał, że kobieta piękna, jeśli nie posiada wyjątkowych sił do oporu, stwarza około siebie bezwiednie warunki, których nieprzemyślany fatalizm pecha ją i jej wielbicieli do upadku. Chociaż więc posiadał zupełne zaufanie szczęśliwego nad nią zwycięzcy i znał każdy ruch jego taktyki, nie próbował jej od przepaści odstraszyć lub odciągnąć ani prośbą, ani morałem, lecz przyszedł do niej przed pierwszą schadzka w ogrodzie i rzekł: (wstaje i mówi z zapalem) Idź pani i pokalaj się, bo dziś czy później, w jego, czy innym uścisku, pokalać się musisz!

EMILIA (tłumiąc wzburzenie).

Muszę?

ZENON (j. w.).

Tak, musisz pani wynieść za ognisko rodzinne i splamić swoją kobiecą godność, której ci pokusy na jego ołtarzu w czystości dochować nie pozwoliły. Dziś może cię od tego powstrzymać przeszkoda, jutro obowiązek, pojutrze bojaźń, ale przyjdzie czas, w którym cię nie powstrzyma. Im zaś prędzej konieczność się spełni, tem lepiej, bo więcej zostawi ci życia na oplakanie błędu i jego zatarcie. Idź więc pani...

EMILIA (rozpaczlwie).

Nigdy!

ZENON (chłodno).

Pójdzie.

EMILIA (zrzucając zwierzcnie ubranie).

Nie!

ZENON.

Więc z takim tylko zakończeniem powieści moją wolno mi przypisać pani?

EMILIA (posępnie).

Ona jeszcze nieskończona — dla mnie.

ZENON.

Czegoż brak?

EMILIA (z boleścią).

Co ta kobieta, której nagle uświadomiono fatalizm jej zboczenia i w której zbudziła się cała duma uczciwej w pobudkach i wolnej w czynach woli, ma nazajutrz powiedzieć swemu współwinowajcy? Usprawiedliwić mu się nie może, gardzić nie ma prawa.

ZENON.

Ale może i ma prawo odtąd nic z nim nie mówić.

EMILIA.

Jak postąpi z mężem, przed którym utaić swej winy nie chce, a wyjawić się lęka?

ZENON.

Również może i ma prawo o niej zamilczeć, ażeby przyznaniem się nie stracić bezpowrotnie jego ufności, jeśli na nią w dal-szem życiu prawdziwie zasługiwać myśli.

HALINA (wchodząc).

Pan Dąbek.

EMILIA.

Drzwi te zamurwane — dla wszystkich. (Halina oddala się).

ZENON.

Pewnie z wyjątkiem męża, który przez nie wróci, i mnie, który wychodzę.

EMILIA (podając rękę).

Wszedłeś pan przez nie jako mój przyjaciel, nie wychodź jako szyderca (rozrzewniając się). Wstydem oniemiona, łzami tylko podziękować panu umiem.

ZENON.

To najmiłsza nagroda dla powieściopisarza.

EMILIA.

Panie, jak mi zgryzota serce szarpie, jak ja otwarcia tych drzwi się boję! (na progu staje Zygmunt).

SCENA V.

Ciż i ZYGMUNT.

ZYGMUNT (do Zenona).

Jesteś!

ZENON.

Już tyle tylko, żeby cię uściskać.

ZYGMUNT.

Zaczekaj.

ZENON.

Ani chwili.

ZYGMUNT (wesolo).

Nawet, żeby mi wytłumaczyć, co znaczy wzruszenie mojej żony?

ZENON.

Tęskniła za tobą.

EMILIA (podbiegłszy do Zygmunta).

Żegnałam przyjaciela.

ZYGMUNT (całując ją).

Wierzę ci.

ZENON (we drzwiach—do siebie).

Piękna!

(Zastona spada).

K O N I E C.

Polityczne Piśmiennictwo Polskie.

Tyle lat już trwająca wojna wschodnia nie mogła nie wywrzeć wpływu na wzrost politycznej literatury u nas i nie ujawnić naszych w tym kierunku uzdolnień. Ponieważ literatura ta, mimo swej znikomej wartości, jest najpowszechniej wyczerpywanym źródłem myśli, a zwłaszcza w takiej chwili, jak obecna, zalewa wszystkie inne jej strumienie, więc zasługuje na to, ażeby ją w tej właśnie chwili ogólnym rzutem oka objąć.

Wyraza się ona w książkach, broszurach i czasopismach. Pierwsze dwa z tych rodzajów są w Królestwie od bardzo dawnego czasu zupełnie nieznane; za to trzeci występuje bardzo obficie. Nie licząc bowiem tygodników, z których każdy niemal prowadzi rubrykę spraw politycznych, nie licząc sześciu pism prowincjonalnych, również temi sprawami zajętych, posiadamy dziewięć w Warszawie wychodzących dzienników, głównie im poświęconych. W sprawozdaniu wszakże naszym musimy cyfrę tę znacznie zredukować. Z pomiędzy bowiem owych dziewięciu czasopism, pięć ogranicza się tylko na reporteryj politycznej. Zadaniem tych organów jest podać najświeższe (w warszawskim tego słowa znaczeniu) telegramy i streszczyć uwagi zagranicznych gazet nad bieżącymi wypadkami, do których czasem wplata się nawiasowo oryginalne objaśnienie kompilatora. Cała ta reporterska maszyneria posługuje się materiałem już gdzieś indziej wyrobionym; że w jej artykułach cudzysłów ma prawo stanąć na każdym ich miejscu, że nie posiada własnych po świecie rozproszonych współpracowników, którzyby dla niej bezpośrednio doniesienia zbierali — dziwić się temu niepodobna. Prasa społeczeństwa, którego język ledwie kilkanaście milionów w drobnej części oświeconych ludzi rozumie, która nie gra żadnej wybitnej roli, której wydawcy, po kilka tysięcy abonentów liczący; uważani są za Krezusów — prasa takiego — mówimy — społeczeństwa musi być pasożytem innych. Wolno tylko wymagać, ażeby nie była pasożytem dla swoich czytelników szkodliwym. Tymczasem często trudno ją od tej winy uwolnić, a usprawiedliwić można tem jedynie, że wina ta jest w całym ucywilizowanym świecie bardzo powszechną. Drobne dzienniczki torują sobie wszędzie drogę do szerokich kół publiczności wiadomościami drażniącymi. Pominą najdonioślejsze uchwały sejmów i ministeriów, ale nie pominą ani jednej awantury. Podobnie dzieje się u nas. Rozprawy np. niemieckiego parlamentu nad wnioskiem co do ścieśnienia swobody publicznego słowa i stowarzyszeń przechodziły bez odgłosu w tych pismach, które z największą drobiazgowością lubowały się w opisach dwu pokuszeń na życie cesarza Wilhelma. Przyznać jednak trzeba, że i w tym oddziale naszej prasy, niektóre — jak np. *Gazeta Handlowa*, *Kuryer Codzienny* i *Nowiny* — nie występują nigdy po za granice sprawozdań rzeczywiście poważnych.

Ale zwróćmy się do organów, ujawniających chęć samodzielnego wyrabiania polityki. W niektórych między niemi nie widzimy żadnych dowodów, któreby chęć tę usprawiedliwiać mogły. Takim jest *Wiek*. Zarówno wstępne artykuły tego pisma jak i jego korespondencye są tylko streszczeniami gazet zagranicznych i nie zdradzają przekonania redakcyi. W sprawach wewnętrznych *Wiek* stara się rzeczywiście poruszać bezpośredni z polityką związek mające zagadnienia społeczne. Słowo *poruszać* jest charakterystyczną, gatunkową nazwą tego rodzaju autorstwa u nas. Wątpliwości nie

ulega, że tak zwane *poruszanie* i *dotykanie* kwestyj jest w naszej prasie do pewnego stopnia z warunkowane przyczynami od niej niezależnymi, ale z drugiej strony pochodzi z braku ludzi, którzyby nie tylko *poruszać* i *dotykać*, ale głęboko badać umieli. Odsunawszy na bok wszystkich „naszych znanych” ekonomistów i z ulicy werbowanych polityków, wyznać musimy, że godnych jednego lub drugiego tytułu ledwie kilku posiadamy. Istnieje natomiast mnóstwo ludzi dość zdolnych, ogólnie wykształconych, którzy obserwując swoje społeczeństwo, dostrzegają w jego życiu najrozmaitsze *kwestye*, które mają siłę *dotknąć* lub *poruszyć*, ale nie mają siły rozwiązać. Z takiego to źródła płynęły i płyną artykuły *Wiek*, odnoszące się do spraw krajowych. *Poruszał* on lub *dotykał* oświaty ludowej, stosunków ziemiańskich i tym podobnych kwestyj, których ważność każdemu wpada w oko, ale nie rozebrał ich należycie. Przedewszystkiem zaś nie wie, albo nie mówi, jaki jest według niego najpożądany ustrój stosunków państwowych; jego przekonania nie są łączącymi się wyrazami jednolitego systemu, ale twierdzeniami bez planu i związku. Podać przepisy obowiązujące, wykazać ich sprzeczność z zastosowaniem i czule westchnąć w imię dobra ogólnego, kryjąc starannie powód tego westchnienia — ot cała formuła naszej socjologii, mającej typowych przedstawicieli w *Wiek*. Nie zapominajmy jednak, że i to ma dla nas pewne znaczenie, bo bywały czasy, kiedyśmy lękali się nawet *poruszać* i *dotykać* jakichkolwiek ogólnych kwestyj.

Pokrewną z *Wiek*em w politycznym względzie, chociaż niedołączniejszą od niego jest *Gazeta Polska*. I ona również zawiera tylko wyciągi z pism zagranicznych, ale często wybrane tak nieoględnie i zlepione tak luźnie, że wiersz wierszowi przeczy, wiersz z wierszem się rozłazi. Jeżeli redakcyja posiada jakiegokolwiek przekonania polityczne, to chyba tylko, szczerą czy udaną, wiarę w możliwość natychmiastowej wszędzie wojny. To ustawiczne trąbienie do boju, które nieraz wygląda na siłę przyciągania... abonentów, stało się w *Gazecie Polskiej* chroniczną chorobą, śmieszną manią. Chociaż często widnokraj polityczny zupełnie rozjaśniony, wynajduje ona na nim jakąś chmurkę i ukazując ją czytelnikom powiada: patrzcie, to znak strasznej burzy; w tym obłoczku kryje się potop i gromy. To też jeśli czytelnicy *Gazety Polskiej* ufają bezwzględnie jej wróżbom, muszą chyba ciągle budować sobie arkę i ustawiać konduktory, ażeby się uratować z tego potopu i zabezpieczyć od tych gromów. Muszą to być ludzie wiecznie czujni, strwożeni, przygotowani do niebezpieczeństwa. Zaledwie dodawać potrzeba, że w tem robieniu wojny wszędzie i zawsze zginąć musi nawet chęć ustalenia sobie politycznych zasad i wszechstronnego uogólniania faktów. Prawdę rzekłszy, przy tej nawet chęci *Gazeta Polska* nie dokonałaby niczego. Dzieli ona bowiem los wszystkich prawie naszych gazet politycznych — nie ma zdolnych do tej pracy ludzi. Cała jej polityka jest najwyczerpięjszym wyrobniectwem, urozmaiconem chyba tylko humorystyką paryżkiego korespondenta, który ze wszystkimi władcami świata klepie się po ramieniu i często zjada wspólnie objadki. Dla czego redakcyja tej zuchwalej bliżeryi nie wypowiedziała już dawno u siebie pomieszczenia, zgadnąć trudno.

Rzecz dziwna, najwsteczniejszy i najciemniejszy pod względem zasadowym organ naszej prasy, *Echo*, ma najbardziej ustalone polityczne przekonania. Jakie są te przekonania charakteryzować nie będziemy, gdyż system oparty na ciemności ludu, na przywilejach kast, na teokratyzmie i licznie uszczelblowanej hierarchii, dostatecznie jest

znany. Idzie więc tylko o określenie umysłowej wartości sił, które się w *Echu* do tego systemu zaprzęgiły. Przyznacie zapewne czytelnicy, że chętnie przeczytalibyście gruntowną krytykę socjalistycznych utopij. Ale gdyby wam ktoś, zamiast takiej krytyki, zlewał peryodycznie na głowę potok pustych frazesów, pieniących się ciągle takimi wyrazami, jak: gangrena, rak, polip, zgnilizna i t. p. chętnie zamknęlibyście wymowne usta, któreby was tem patologicznym słownictwem na rachunek socjalistów uraczyć chciały. Ostatecznie bowiem dowiedzielibyście się tego tylko, że ktoś komuś za oś wymyśla, ale gdzie prawda, gdzie dowody, gdzie słuszność — naprózno byście szukali. Przypuszczamy, że takie gołosłowne złorzeczenia mogłyby mieć jakieś znaczenie w kraju, w którym teoretyczny i praktyczny socjalizm jest objawem powszechnie znajomym. Tymczasem u nas nie przeniknął wcale do życia, a w nauce zrozumiałym jest jedynie bardzo szczupłej garstce umysłów, zajmujących się teoryami ekonomicznymi. Zrobiono w którymś z pism bardzo trafną uwagę, że wydajemy broszury i zabezpieczamy się przeciwko chrząszczowi Colorado, którego u nas wcale nie ma, a nie piszemy nic i nie przedsięwierzemy żadnych środków przeciw liszkom, które zwłaszcza w roku zeszłym stały się dotkliwą dla naszych ogrodów plagą. Podobnie rzecz się ma z socjalizmem. *Echo* walczy z nim jak z chrząszczem Colorado, zamiast swoją gorliwość zwrócić do krajowych liszek. Gdyby jego elukubracye, na ten temat podane, posiadały wartość rozpraw teoretycznych, dawałyby przynajmniej korzyść naukową. Ale są to papierowe młoty, rozbijające na dalekim widnokregu zawieszoną mgławicę, która tych uderzeń nie czuje. Niech ten przykład wystarczy jako próba politycznych uzdolnień *Echa*. Są one w publicystycznym znaczeniu prawie żadne. I chociaż redakcyja w wypadkach choroby swego politycznego personelu koi głęboką „tesknotę“ czytelników za przerwaną chwilowo rubryką, to jednak wcale na wartość owych rubryk nie wpływa, a tesknota po nich pierwszym lepszym *Kuryerem* z łatwością się zabliznia. Wszędzie bowiem zaspokoić można pragnienie na trzeci lub czwarty dzień odgrzewanych nowin i szczerych zapewnień o „niewyjaśnionych sytuacjach“. Niezgoda z treścią nie zaślepiła nas na wartość formy. Gdyby u nas istniał francuzki *Figaro*, potępiając jego zasady, nie wahałibyśmy się nigdy oddać sprawiedliwości apostołującym je siłom. Tymczasem *Echo*, które ma wiele cech moralnego pokrewieństwa z *Figarem*, nie posiada w najodleglejszym przybliżeniu najniższej werwy uzdolnień tego dziennika. Pomiedzy francuzkim a naszym wstecznikiem jest taka różnica, jak np. między wymownym kaznodzieją a zwykłym prowincjonalnym organistą.

Palmę pierwszeństwa w politycznym piśmiennictwie naszym powszechna opinia przyznaje *Gazecie Warszawskiej* a raczej jej autorowi „Ostatnich Wiadomości“. Względnie do innych wyrobników politykujących warsztatu tytuł wyższości należy mu się słusznie. Autor ów bowiem jest rzeczywiście pisarzem zdolnym, dość samodzielnym, z historią lat swej dziennikarskiej praktyki szczegółowo obeznanym i krytycznym; nie sięga on wszakże miary głośniejszych publicystów zagranicznych. Przedewszystkiem zupełny brak źródłowych informacyj, brak jakiegokolwiek związku z czynnym mechanizmem polityki, uniemożliwia wszelką samoistność i zmusza do zależności od prasy zagranicznej. W tym więc względzie wyższość autora „Ostatnich Wiadomości“ polega jedynie na odczytywaniu większej ilości i lepszych gazet. Ani Petersburg, ani Berlin, Wiedeń, Paryż lub Londyn, ani dy-

plomaci, ani poprzyjaźnieni z nimi korespondenci wiadomości mu nie dostarczą, trzeba się więc opierać na materyale, na sądach i wnioskach obcych gazet, kontrolując je co najwyżej zdrowym rozumem. Obok tego nieodłącznego od naszych dziennikarskich warunków niedostatku, autor „Ostatnich Wiadomości“ ulega innym, z nim specjalnie związanym. Naprzód nie zna dostatecznie ustawodawstw, powtóre zna dokładnie tylko dzieje objęte swoją piśmienniczą praktyką, potrzebie zna je tylko w najbardziej zewnętrznych objawach—w dyplomacyi i jej działaniach. Twierdzenie nasze opieramy na tym fakcie, że nigdy w „Ostatnich Wiadomościach“ nie spotkaliśmy przeciwnego mu dowodu. Autor pamięta doskonale wszystkie wojny, traktaty i operacje rządowe z ostatnich lat pięćdziesięciu, ale nie zdradza podobnej wiedzy po za tą granicą; wywody swoje opiera zawsze na wąziutkiej podstawie historii gabinetów, a prawodawcze zmiany sądzi cudzem zdaniem. Ztąd też polityka jego jest zawsze ciasną i chwiejną. Gdyby ktoś ciekawy zapytał go, czy jest republikaninem, czy monarchistą, zwolennikiem autonomii, czy zależności kościoła w państwie, nie umiałby odpowiedzieć. We Francyi chwali republikę, we Włoszech—rojalizm. Gdy zaś w jakimś państwie nastąpi prawodawcza zmiana, autor „Ostatnich Wiadomości“ objaśnia swoich czytelników jak parlamentarny mówca.

Tu miejsce zastanowić się nad szczególnem przeoczeniem naszej prasy. Każdy zapewne przyzna, że ażeby dziennikarskie rozprawy nad wewnętrznym zwłaszcza biegiem polityki zagranicznej były dla polskich czytelników użyteczne i pouczające, musi być sam przedmiot dla nich zrozumiałym. Rezultat ten za granicą osiągnąć można bez trudu, gdyż każdy albo zna ustroj swego państwa, albo przez analogię ustroj innych zrozumieć może. Francuz wie, co znaczy: prefektura, ciało prawodawcze lub senat i odgaduje naturę podobnych instytucyj gdzieindziej; ale nasze społeczeństwo, posiadające organizację różną od całej Europy, powtarza nazwy tych instytucyj, nie mając o nich dokładnego wyobrażenia. Jeden z bardzo pilnych czytelników naszych gazet zapytał nas razu pewnego z całą otwartością: dla czego pewien wniosek do prawa w francuzkim parlamencie aż po trzecim przeczytaniu zatwierdzono? A nie jest to wątpliwość dla ogółu jedyna. Słuchano o izbach wyższych i niższych, o radach związkowych, o urzędach kanclerskich, o odpowiedzialności ministrów, ale znikąd nie może się szczegółowo dowiedzieć, na jakich podstawach wszystko to spoczywa i w jakim zakresie działa. Niedawno sprawa zastępstwa kanclerza w Niemczech była przedmiotem żywych dyskusyj i w naszej prasie, a z pewnością rzadko kto pojmował, na czem trudność tej sprawy polegała. Nie potrzeba zresztą tak daleko sięgać: jesteśmy przekonani, że zaledwie jeden na tysiąc u nas wie, jakie są atrybucyje kanclerza w Rossyi. Zadaniem więc naszych politycznych gazet winno być szczegółowe obznajmianie czytelników z państwowemi urządzeniami nadewszystko tych krajów, których organizacja jest naszemu społeczeństwu obcą. Bez tego polityka będzie tem, czem jest—historją o żelaznym wilku. Za granicą, gdzie takie potrzeby są nieporównanie mniejsze, wychodzą broszury i książki, poświęcone wykładowi zasad konstytucyi angielskiej, francuzkiej, włoskiej i t. d. Nasze piśmiennictwo polityczne woli karmić swych czytelników niezmiernymi sprawozdaniami z pola bitew. Przed kilku laty *Gazeta Warszawska* pomieszczała w swym odcinku tak drobiazgowy opis oblężenia Paryża, że chyba nie pominięto w nim ani jednego zje-

dzanego szczura; tymczasem na opis wewnętrznego urządzenia sąsiednich nawet państw nie znalazła ani jednej szpalty miejsca.

Zebrawszy bardzo nieliczne szczegółowe cechy politycznej prasy w Królestwie, przychodzimy do następującego wniosku: jest to gałąź literatury żyjąca i rozwijająca się na łasce gazet zagranicznych, podniesiona czasem pisarską zdolnością pojedynczych autorów, ale niereprezentująca żadnych samodzielnie postawionych zasad i nieobznajmiania czytelników systematycznie ani z międzynarodowym prawem, ani z wewnętrznymi urządzeniami państw europejskich. Wszystkie jej chęci zbiegają się w jednym, jedynym celu zbierania świeżych i rozszerzania lakonicznych telegramów. Dodać nadto trzeba, że cała ta prasa, chociaż niekiedy pozwala sobie zachwyty nad cudzą postępowością, jest i być pragnie ściśle konserwatywną, nawet anachronistycznie wsteczną. Wyjątek stanowi tylko świeża gazeta *Nowiny*, o której jednakże, jako ledwie narodzonej, nie jeszcze powiedzieć nie możemy. W tej chwili bowiem znamy jedynie kilka jej politycznych artykułów, w których ujawniła dążności postępowe.

Daleko rozmaiciej przedstawia się polityczne piśmiennictwo polskie za granicą. Wojna obecna wywołała tam mnóstwo broszur, rozwiązujących kwestyę wschodnią motywami własnej sprawy, najeżonych szowinizmem, przepelnionych deklamacją, a przez to samo pozbawionych głębszego znaczenia. Rzecz dziwna, najrozsądniejsze stosunkowo pomysły spłodziła najlichsza z kądinąd partya *białych*, prawowiernych stańczyków. Okazała ona przynajmniej ten rozum, że nie wiodła narodu na pole bezpłodnych a szkodliwych awantur, nie pobudzała do przedsięwzięć ślepych, niedorzecznych, szalonych. Tymczasem tak zwani (po galicyjsku) liberały prześcigali się w kombinacjach bez żadnego realnego gruntu, w budowaniu zamków na lodzie, które obok swej nietrwałości miały tę jeszcze stronę, że zwabiały umysły łatwowieczne i burzliwe. Z ważnych względów nie możemy wychodzić po za granice uwag ogólnikowych, gdybyśmy jednak byli w możności rozebrać przed czytelnikiem szczegółowo wszystkie programy, podyktowane osobnemi broszurami Europie z Krakowa lub Lwowa, niezawszę by uwierzono naszej w tym przedmiocie prawdomówności, tyle w tych wypracowaniach naiwnych, dziecięcych złudzeń. Co warta polityczna prasa Galicyi, wykazywać nie będziemy, gdyż niedawno specjalny nasz korespondent wyczerpująco ją zanalizował. Dodamy tylko, że najgłówniejszym grzechem a często hańbą tej prasy jest bezwiednie i świadome kłamstwo w sprawach naszego społeczeństwa. Łatwowieczność jej dochodzi do takiego stopnia, że gdyby komuś np. przyszła myśl donieść *Gazecie Narodowej* następującą banialukę: „7-go lipca w piątek warszawski minister handlu zamknął wyższą szkołę inżynierską w mieście Tuchole przy skrzyżowaniu Biebrzy z Pilicą“ — *Gazeta* wydrukowałaby całą tę wiadomość bez zmiany, nie dostrzegłszy wcale, że 7-go lipca nie wypada w piątek, że w Warszawie ministrów nie ma, że minister handlu nie zarządza szkołami, że w Królestwie żadna wyższa szkoła inżynierska nie istnieje, że Tuchola leży w Poznaniu a Biebrza z Pilicą się nie krzyżuje. Nie sądzicie, żeby to była z naszej strony przesada; czytaliśmy bowiem w gazetach galicyjskich doniesienia z Królestwa, którym najmniejszy ślad jakiegokolwiek faktu nie odpowiadał. Łatwo zgadnąć, że przy takiej gościnności wszelka osobista złość znajduje w niej swobodne ujście dla swych oszczerstw. Niedawno jeden z piotrkowskich Melitosów, nawet bez osobistej pre-

tensyi, napisał paskwil przeciw warszawskim literatom, których nigdy nie widział, których prawie nigdy nie czytał: a jednakże paskwil ten ozdobił kolumny *Czasu* jako głos „zaczynającego obywatela“. Nie dość na tem. Obok łatwowieczności w przyjmowaniu kłamstw, redakcyje czasopism galicyjskich same ten towar fabrykują. Widzieliśmy telegramy, pisane ręką jednego ze lwowskich literatów i ogłoszone, które przeszły najwyższą miarę zmyślenia i którym dziesięcioletnie dzieci by nie zawierzyły. Publiczność galicyjska chociaż czasem łowi się na te nędzne wędkę, nie ma jednak do nich bezwzględniego zaufania. Systematycznie oszukiwana, nie entuzjazmuje się już sporniewieranemi słowami: ojczyzna, wolność, niepodległość i t. p., przyjmuje zapowiedzi szybkiego zbawienia chłodno i traci coraz bardziej wiarę w rozum i uczciwość swych przewodników. To też prasa galicyjska upadła moralnie w oczach zagranicy i swojego kraju, nietylko nie wywiera żadnego wpływu na losy całego polskiego plemienia, ale nawet na przekonania miejscowego społeczeństwa. A przecież, jakże w obu tych kierunkach potężnie oddziaływać mogła!

W uczciwym od galicyjskiego i poważniejszym dziennikarstwie poznańskim znajdujemy wiarogodniejsze i lepiej kontrolowane doniesienia, znajdujemy spokojniej traktowaniu spraw politycznych, znajdujemy uwzględnienia stosunków rzeczywistych. Nie ma w niem ani tych kłamstw, ani tych dziecinnych utopij, które nie schodzą z prasy lwowsko-krakowskiej.

Cokolwiek byśmy przecież na pochwałę tego lub owego pisma powiedzieć mogli, wyznać trzeba, że cała polityczna literatura polska nie posiada ani jednego wielkiego talentu, chociażby talentu Kalinki lub starożytnego Kollataja. Jest to warsztat, w którym pracują zdolności mierne, charaktery przeważnie szlachetne, ale rozumy niedaleko sięgające.

ZRÓDŁA DZIEJOWE.

Tom X. Sprawy wołoskie za Jagiellonów—Akta i listy—wydał i szkicem historycznym poprzedził Aleksander Jabłonowski.—Warsz. 1878.

W skład narodowości wołoskiej, zwanej już dzisiaj powszechnie rumuńską, weszły w zaraniu dziejowym trzy główne pierwiastki: dacki, rzymski i słowiański. Różnemi też czasy wywierali mniejszy lub większy wpływ na życie tego ludu: Grecy, Madziarowie, Turcy i Niemcy. Gdy na początku 2-go stulecia po Chr. Trajan podbił Dacyę i założył w niej rzymskie osady¹⁾, gdy tubylcy, już to przechodząc w służbę Cezarów, już to usuwając się ku Karpatom, ulegli materialnej i cywilizacyjnej przemocy tryumfatorów, była to właśnie wstępna chwila narodzin nowego romańskiego ludu. Organizm sam tworzył się po za widnokreśm ówczesnej dziejopisarskiej kontroli. Wschodni łańcuch Karpat Siedmiogrodzkich, Dniestr, Prut, Seret i dolny bieg Dunaju — oto przypuszczalne ramy, wśród których powstawał, rósł, przesunął się i ścięła z pedzonami przez wichry średniowieczne gromadami koczowniczymi. Ostgocy, Hunowie, Awarowie, Bołgarowie, Madziary, Pieczyngi, Połowcy — zakładali tu różnemi czasy obozowiska, często na wieki całe. Najbliższymi wszelako i najstarszymi podobno sąsiadami Wołochów byli Słowianie, mianowicie wspomniani przez Nestora, gnieżdżący się między Dniestrem a Prutem Tyweroy.

¹⁾ U Diona Kassysusa w księdze 68 pod r. 858 a. U. c. (105 naszej ery) czytamy: „Dacia in potestate populi Romani venit, in eaque Trajanus colonias instituit“.

Rolę głównych pośredników w sprawie spokrewnienia ludu romańskiego z okalającą go Słowiańszczyzną odegrali Bułgarowie, którzy, podbiwszy naszych współplemieńców, przyjęli ich język, a niebawem usłowianieni stali się gorliwymi krzewicielami zarówno adoptowanej narodowości, jak zrodzonego świeżo wśród niej słowiańskiego obrządku. Przy pomocy tych nowych zaborców zromanizowana Dacya „pociągnięta była (jak się wyraża p. A. J.) na całe wieki w odmęt życia południowo-słowiańskiego”. Zwycięzcy zdołali narzucić Wołochom język swój i religię (po IX wieku) tak dalece, że mowa odziedziczona po Italach stała się niemal udziałem warstw najniższych. Późniejszy wpływ Madziarów i katolicyzmu, jakkolwiek częstokroć potężny, nie zrównoważył nigdy ciężenia Rumunów ku systemowi, z którym się tak wcześnie zespolili. Bądź co bądź groźba węgierskiego jarzma, w połączeniu z ustającymi stopniowo napadami Pieczyngów, Połowców, a od 1228 r. Mongołów, musiała zagnać drużyny rolników i pasterzy słowiano-wołoskich do częstej zmiany siedzib. Ruch wychodzący wzniósł się w pierwszej połowie XIII stulecia, gdy pod przewodnictwem słynnego rodu Basarabów potomkowie Decebala wywędrowali z górskich okolic ku nizinom naddunajskim. Wtedy to lub nieco później cała kraina od Żelaznych Wrót do Aluty przyjmuje nazwę Basarabia czy Basarabii; północne zaś porzeczce u dolnego Dunaju, gdzie osiedli przybysze z zagórskiej, transylwańskiej Dacyi, zaczyna być mianowane przez pobratymców Montanią, Moltanią (po naszymu Multany), czyli krajem zamieszkanym przez górali. Wołosi ze swej prastarej dziedziny siedmiogrodzkiej posuwali się i w północnym i w południowym kierunku, to krocząc naprzód, to wracając do dawnych siedzisk. Pochód ich szczególnie ku ujściom Dunaju nosi na sobie cechę wyjątkowej przedsiębiorczości. Jeszcze przed schyłkiem wieku XIV-go (1390 r.) występujący śmieiej przeciw madziarskiej hegemonii Mirca (Miricius), władca Multan mianuje się wojewodą transalpińskim i panem („despotus”), położonej już, jak wiadomo, za Dunajem, Dobruczy. Z czasem jednak falowanie pasterskiego narodu jeśli nie ustało, to w ciśniejszych znacznie zawarło się granicach.

Z braskiem dziejów jagiellońskich nazwa Mołdawii służy bliższej, zadniestrzańskiej, nazwa Multan—dalszej, naddunajskiej Wołoszczyźnie. Z tamtą Korona i Litwa częste, podyktowane przez konieczność historyczną miewały stosunki, z tą pośrednio się tylko i przypadkowo stykały. Wołoszczyzna, Wołochy—są miana albo ogólne, albo używane przez kronikarzy naszych do oznaczenia sąsiedniej krainy, Mołdawii, którą późniejsi uczeni i kompilatorowie mylnie utożsamiali z Multanią.

Od samego zawiązku państwa rumuńskiego nad Mołdawią, od chwili, gdy pierwszy mołdawski wojewoda Dragosz wystąpił na widownię (ok. 1359), bliższa Wołoszczyzna zostaje ciągle w bezpośrednich stosunkach z Rusią halicką, a więc i z tą polityczną całością, do której Danielowe dziedzictwo należy. Łączność taka była nieodzowną; bo oprócz wspólności obrzędu religijnego i pokrewieństwa mowy urzędowej, wiązały Mołdawian z sąsiadami terytorjalne i polityczne warunki. Ziemia, którą Dragosz i Dragoszy-cowie władali, mogła być geograficznie uważaną za dalszy ciąg noszącego miano Pokucia, powiatu Kołomyjskiego w województwie Ruskiem; Węgrzy zaś i Turcy byli do czasu groźnymi dla obu stron nieprzyjaciółmi. Gdy roztrząśniemy powyższe dane i zwrócimy uwagę na tę okoliczność, że wnucy Olgierdowi posiadli niebawem koronę Świętego Stefana, a Mołdawia, przez cały wiek hołdownica Polski, miała ustawiczną współza-

wodniczkę w swej siostrze, Multanii, to zapominając chwilowo o dalszych dziejach, gotowibyśmy przysiąc, że silni a przezorni Jagiellonowie przyłączają Wołoszę do formującej się federacji ludów. Tymczasem inaczej się stało. Zajrzyjmy do kronik, do świeżo wydanych źródeł.

Zaszły w 1386 r. fakt zaślubin Jadwigi z Jagiełłą wywarł stanowczo dodatni wpływ na stosunki polsko-wołoskie. Już 1387 r. Piotr wojewoda mołdawski składa królowi lechickiemu, Jadwidze i ich następcom formalną przysięgę wierności („fidelitatis homagium”). Niezależnie od tego otrzymuje on za żonę jedną z krewnych Władysława Jagiełły i pożyczka mu biorąc Halicz w zastaw trzy tysiące rubli w srebrze („tria millia rublorum argenti”). W roku zaś 1389, gdy złowroga bitwa pod Kosowem zwiastowała Europie wkraczającą zuchwale w jej granice potęgę turecką, a przemoc Madziarów zbyt już ludowi słowiano-romańskiemu uciążliwą była, nietylko tenże Piotr, ale i jego pobratymiec, wojewoda Multanii Mirosław zawarł w Radomiu—pod dniem 8 grudnia—z królem Władysławem zaczepno-odporne przeciw Węgom przymierze. Okoliczności jednak przybrały nad Dunajem tak burzliwy charakter a polityka Jagiełły tak niepewną miała barwę, że nowy sprzymierzeniec Mirca uznał się w cztery lata później hołdownikiem sułtana Bajazeta. Odtąd Turcy podległą sobie Multanię nazywają „białą Wołoszczyzną”, „Ak-Iflak”, dla odróżnienia jej od „czarnej”, „Kara Iflak”, t. j. od Mołdawii, która i nadal w ciągłych z Polską zostaje stosunkach. Losy Multan nie są też wyraźniej związane z losami naszej krainy, mimo iż naddunajska Wołoszczyzna waży się ciągle jeszcze między Turcyą i Węgrami, a połączeni z nią bezpośrednio wojewodowie banatu Basarabii składają nawet parę razy na początku 15-go stulecia przysięgę wierności królowi polskiemu, jako domniemanemu dziedzicowi korony S-go Stefana. Mołdawia za to, chyląc się coraz bardziej ku Krakowu i Wilnu, jest przy całej jej chwiejnej postawie hołdownicą Polski aż do 1492 r. Węzły zadzierzgnięte między Zadniestrem a Lechią Jagiellońską nabrały głównie mocy podczas trzydziestoletnich rządów w Soczawie Aleksandra Dobrotliwego, który składając przy każdej ważniejszej okoliczności hołd Władysławowi, organizował swe państewko pod zasłoną potężnego patrona i dotrzymywał ślubu przyjaźni aż do r. 1433, gdy nieopatrznie stanął przy ramieniu wszczynającego domową niesnaskę Świdrygiełły. Taki układ stosunków sprzyjał znakomicie rozwojowi handlu ze Wschodem: Lwów, Soczawa, Jassy, Białogród były rynkami; Ormianie, Żydzi i Grecy pośrednikami w zamianie towarów. Niebawem nastąpiła śmierć Aleksandra a z nią dwuletnie krwawe sceny, wynikające ze współzawodnictwa spokrewnionych z Jagiellonami spadkobierców. Skutkiem tych zatargów, wśród których Eliaz zamordował matkę Stefana Ryngałę, Kiejstutównę z domu, był podział ojcowizny. Starszy, Eliaz, otrzymał wyższą Wołoszczyznę z Soczawą, Chocimem i Jassami; młodszy, Stefan—niższą, z Kilią, Białogrodem i Tehinią. Obaj uznali się hołdownikami Polski. Fakt ten nie uspokoił tak naturalnie poróżnionych ze sobą despotów, i ziemia zostająca pod zwierzchnictwem siedzących na stolcu krakowskim monarchów ciągle się posoką zalewała. Z tem wszystkim, ponieważ rywalom potrzebną była opieka, król polski odbierał częstokroć od obu stron przysięgę wierności i przesładowanych zbiegów do siebie przytulał; podczas gdy stosunki Wołoszy z Litwą, wzmacniane odrębnymi przymierzami, pogodną wogóle nosiły barwę. Zdrowa polityka radziła zająć pas ziemi, będący przyrodzonym dopełnieniem odsuniętego od morza terytorium Rzę-

czypospolitej. Należało spełnić to już wówczas, gdy jeszcze Carogrodu nie zajęli Turcy, gdy sięgające do Euksynu Zadniestrze nie stało się trzęsawiskiem wołoskich podstępów i turecko-tatarskiej zarazy. Jagiellonowie jednak nie zrozumieli jasno swego stosunku do burzy wschodniej i zapisali swe imię w dziejach, jako kunktatorów lub nieszczęśliwi przeważnie walecznicy. Najlepsza sposobność do federacyjnego na prawach Litwy wcielenia Mołdawskiej krainy zdarzyła się w 1450 r., gdy wyzuty z władzy syn Eliasza, Aleksander II, uszedł powtórnie do Polski wraz z matką a ciotką Kazimierza Jagiellończyka, Mańką, prosząc króla o przytułek i opiekę. Na radzie koronnej odzywały się wprawdzie arcyrozsadne głosy, ale trwożliwa większość przemogła. Wyobrażali sobie naiwni politycy, że Wołoszczyzna jest jakąś obronną „obcą ścianą”, jakimś warownym przedmurzem, po za którym łatwiej stawić czoło azyatyckiemu barbarzyństwu; zapominali, że właśnie owa ściana może być obrócona przez samego wroga w groźną redutę, że z tym wrogiem prędzej lub później zetrzeć się będzie trzeba. Bojaźliwe krótkowidztwo spełtało państwowy organizm na Zadniestrzu podobnie jak i w naddnieprowskiej Ukrainie.

W r. 1453 nastąpiło wzięcie Konstantynopola. Był to grom powołujący do baczności całą chrześcijańską Europę. W r. 1455 dowiedziano się znów o gwałtownej, poprzedzonej przez zaborstwo zmianie władzy na Wołoszczyźnie. Kazimierz Jagiellończyk gotów już był podobno przedsięwziąć krok stanowczy; ale ważniejsza na pozór pruska wojna przeszkodziła niedojrzałym jeszcze zamiarom. Tymczasem zmazany praktyką trucicielską wojewoda mołdawski, Piotr Aaron, złożył hołd Kazimierzowi, a w kilka dni później posłał do Carogrodu haracz, który był ni mniej ni więcej, jak wstępem do poddańczej uległości. Wkrótce atoli zepchnięty z tronu ustąpił miejsca Stefanowi IV-mu. Czyny tego człowieka zaważyły potężnie na szali dziejów wołoskich. Znalazłszy się na przeciwnym punkcie dążeń polskiej, węgierskiej i tureckiej polityki, zbrojny w rozum, energię i bizantyńską przebiegłość, postanowił on uorganizować państwo niezależne i rozszerzyć jego granice przez wcielenie Multan. Względem Kazimierza Jagiellończyka jest wojewoda Stefan wiernym pozornie hołdownikiem; lgnie przytem, gdy potrzeba, do Turcyi, zawiera przymierze z Węgrami, porozumiewa się z Moskwą; ale ślubów na wierność i przyjaznych układów wtedy tylko nie łamie, gdy w utrzymaniu ich widzi pewną dla siebie korzyść. Polityka jego o ile budzi w Wołochach poczucie samoistności, o tyle uniemożliwia połączenie się ze starą Polską; zaborcze zaś dążenia w kierunku dzielnic multanjskich sprowadzają ten bezpośredni skutek, że Kilia i Białogród, dwa czarnomorskie porty, które były dotąd ważnymi ujściami dla handlu polskiego, stają się w 1484 r. łupem zdobywczycy zastępów Bajazeta II-go¹⁾.

Zgon Kazimierza Jagiellończyka może być uważany za linię demarkacyjną w historii stosunków polsko-wołoskich. Stefan Wielki po roku 1492 hołdu nie odnawia; Jagiellonowie tymczasem zaczynają brać na kiel i tworzą tajemną koalicję niby przeciw Turkom, w istocie zaś w celu osadzenia na gospodarstwie mołdawskim Zygmunta, Starym zwanego. Owocem tych knozań jest słynna klęska bukowińska z r. 1497, a następnie najazd Wołochów na Ruś Halicką. Stosunki sąsiedzkie naprawiają się wkrótce pod wspólnym hasłem boju z niewiernymi;

¹⁾ Część kraju między ujściami Prutu i Dniestrza zagarnięta wówczas przez Turków, przybiera później nazwę Basarabii (Besarabii) w specjalnym tego słowa znaczeniu.

Stefan jednak występuje obok Albrechta już nie w roli hołdownika, lecz sprzymierzeńca. Nawet ważne w 1499 r. wzniesienie Unii Horodelskiej nie wskrzesza dawnego stanu rzeczy. W parę lat później wojewoda wołoski wymógł na słabym królu stracenie przebywającego na gościnnym gruncie polskim współzawodnika swego Eliasza, a potem odezwał się głośno z pretensjami swemi do Pokucia. Uroszczenie to w ciągu pierwszej połowy XVI-go wieku jest dla Mołdawian ustawicznym pretekstem do grabieży i śpiewaną peryodycznie przed Jagiellonami zwrotką w ustach posłów zadniestrzańskich. Następcy Stefana W. idą torem przez niego wskazanym; ale nie posiadają wogóle tej roztropności i energii, jaką celował najpotężniejszy z wołoskich despotów. Smutnym rysem ich działań jest ślepe najczęściej okrucieństwo domowe, w stosunkach zaś zewnętrznych tradycyjne wiarołomstwo i zbyt widoczne chylenie się ku Turcyi. Gdy mołdawskie hordy wpadły na Pokucie, co było zresztą dość powszednią rzeczą, Polski rząd ograniczał się zwykle na odparciu rąk, a następnie, bez względu na to, czy zerwał laury lub ciernie, wchodził z nieprzyjacielem w podobne dawnym, wątpliwe układy. Tar-nowski pod Obertynem (22 sierpnia 1531 r.) poraził na głowę Wołochów. I cóż ztąd za korzyść? Oto ta, że Zygmunt bezpośrednio po odniesionym tryumfie wyprawia posłów do Carogrodu z rzewną skargą na hospodara, który po dawnemu Ruś halicką niszczy i plądruje. Gdy najazdom nie ma końca, monarcha rozsyła wici, i szlachta zbiera się zbrojnie a tłumnie na... „wojnę kokoszą”. W r. 1548 Eliaz II gi zawiera przymierze i wyrzeka się na wieczne czasy praw do Pokucia; ale w trzy lata później tenże Eliaz, porzuciwszy gospodarstwo a przyjąwszy islam, wpada z Tatarami na terytorjum Rzeczypospolitej i pali Braclaw. Pomimo, iż oliwna gałązka, jako symbol pokoju, była spleciona z jagiellońskimi wawrzynami, panowie polscy niekiedy na swoją rękę w przeciwnym duchu działali. W r. np. 1552 hetman Sieniawski, pomógłszy niechętnym bojarom do zglądzenia ostatniego z rodu Dragozyców hospodara Stefana VIII, osadził na jego miejscu możnowładzcę pod imieniem Aleksandra IV, który przez wdzięczność przyrzekł uroczyście hołd królowi i koronie polskiej. Zygmunt August dowiedziawszy się o tych kradzionych laurach, z obawy tureckiego oręża odwołał hetmana, a Jan Aleksander poszedł śladami swych poprzedników. W dziewięć lat później miał miejsce fakt nader charakterystyczny i oryginalny. Niejaki Jakób Heraklides Basilieus Grek z pochodzenia, protestant, wychowaniec dworu wiedeńskiego, mąż uczony i w wysokim stopniu przedsiębiorczy, postanowił zdobyć sobie gospodarstwo wołoskie. Do urzeczywistnienia tej myśli przyłożyli rękę dwaj nasi panowie: Albrycht Łaski i Dymitr Wiśniowiecki. Otrzymał „Despot” pożądane dostojęstwo (1561), ale pomimo swych niepospolitych zdolności, nie wytrzymał na niem długo: zadrasnął najtkliwszą stronę uczuć ludu, i zerwała się burza, w której Heraklides wraz z Wiśniowieckim sromotnie polegli (1563). Rycerski ten w dziejach mołdawskich epizod świadczy wymownie, jak słabą była wola ostatniego z Jagiellonów, gdy nie mogła się odważyć na czyn, któremu sprostał prywatny człowiek. Przed zachodem dni Zygmunta Augusta jeszcze raz silniej błysło nadarmo powodzenie od strony Wołoszy. Bohdan VI, syn protegowanego niegdyś przez Polaków cie miężyziela Aleksandra, wstąpiwszy w r. 1566 na tron wołoski, sprzyjał wyjątkowo Lechii i pod epokę sejmu Lubelskiego złożył uroczysty hołd królowi, któremu słusznie podobno Jan z Czarnolesia zarzuca w swym *Satyrze* pogardę dla sztuki wojennej... Panowa-

nie Bohdana trwa tylko trzy lata po lubelskim święcie. Turcy przypomnieli niebawem Mołdawii ciężące na niej od 1512 r. swe prawa zwierzchnicze. U tych kresów wraz z wydawcą i autorem zatrzymujemy się.

Na dokumenta historyczne, zawarte w X tomie godnej najszerzego poparcia publikacji, składają się: 1) wyciągi z *Inwentarza Rykaczewskiego*; 2) *Akta Metryki Koronnej*; 3) ustępy z *Acta Tomicianae*; 4) *Akta Litewskie*; 5) odszukany w *Zapisach trybunału kor. lubelskiego* przywilej z 1377 r., mocą którego Władysław ks. Opolski nadaje wsie w Sam borskiem („Nowasicze” i „Stupnicza”) wraz z polem zwanem „Myedzillus” etc.) niejakiemu Dziurdzie wojewodzie wołoskiemu.

Stanowiąca wstęp do tych części nowych, częścią powtórnie przedrukowanych w skróceniu źródła, rozprawa pana A. J. odznacza się sumiennym traktowaniem przedmiotu: prostuje ona elementarny błąd, polegający na powszechnem niemal nierozróżnieniu nazw Mołdawii a Multanii i pomimo dość ciężkiej, zaniedbanej pod względem artystycznym formy, rzuca nieraz nowe światło na stosunki polsko-wołoskie. A. G. B.

KRONIKA Powszechna.

a) Krajowa.

Nauki.—Na przyszły rok akademicki wydział prawny tutejszego Uniwersytetu ogłosił dla studentów następujące temata do rozpraw na medale: z historii prawa rossyjskiego: *Pozostałości pogankie w zwyczajach i obrzędach wołoskich współczesnych i ich znaczenie przy badaniu prawa rossyjskiego epoki pogankiej*; z prawa międzynarodowego: *Wpływ traktatów handlowych XIX wieku na rozwój stosunków międzynarodowych*; z ekonomii politycznej: *Znaczenie wolności handlu dla gospodarstwa krajowego i z prawa finansowego: Podatek gruntowy i jego znaczenie w narodowym i państwowym gospodarstwie.*—Profesor zwyczajny Ces. Warsz. Uniwersytetu, Adolf Pawiński, zaproszony został na rzeczywistego członka Towarzystwa Archeologicznego w Moskwie. — *Mapa archeologiczna gubernii Płockiej* ma być wykonana przez jednego z miłośników i specjalistów archeologii, przy pośrednictwie i szczerem współdziałaniu *Korespondenta Płockiego*. Materiały w tym celu dość licznie zbierają się. Komisya archeologiczna Akademii Umiejętności w Krakowie zainteresowała się tym projektem i sekretarz jej, p. Umiński, światłych rad pracującym udzielił. Odtąd autor projektu dla Akademii pracować zamysła; sądzi bowiem, że w ten sposób prędzej uzyska poparcie dla dzieła, które nie będzie już prywatnem, amatorskiem przedsięwzięciem, ale prowadzone dla poważnej instytucji naukowej, stanie się przez to zadaniem donioślejszem w swych skutkach.—W d. 27 czerwca, w auli uniwersyteckiej p. Emil Kwiryn Kahl, wychowaniec Ces. Warsz. Uniwersytetu bronił rozprawy na stopień kandydata, p. t. *Krytyczny rozbiór historycznych pieśni rossyjskich XVII-go wieku*. Wydział filologiczny przyznał panu Kahl żądany stopień naukowy.

Oświata i szkoły.—Dyrekcya dr. żel. Warszawsko-Terespolskiej otwiera w d. 16 sierpnia r. b. klasę pierwszą kursu przygotowawczego Szkoły Technicznej na Pradze przy ulicy Brzeskiej Nr. 218. Zarząd tej szkoły przy przyjmowaniu uczniów oddawać będzie pierwszeństwo synom urzędników i oficyalistów tejże drogi; w razie możności przyjmować będzie dzieci innych osób. Kandydat winien mieć lat dziesięć, umieć czytać i pisać po polsku i rossyjsku i znać cztery działania arytmetyczne. Podania przyjmowane będą od 15 lipca r. b. — Mających zamiar wstąpić w tym roku do Instytutu Górniczego w Petersburgu spotkała bolesna niespodzianka. Zwierzchność Instytutu, z rozporządzenia p. Ministra Dóbr Państwa, ogłosiła, iż w tym roku zapisanie będzie z powodu znacznego zwiększenia się uczących, a szczupłości pomieszczenia audytorjów i pracowni. Fakt taki dawno się już nie zdarzył. — Następujący Polacy ukończyli Piotrowską Akademię Rolniczo-Leśną: a) wydział rolniczy ze stopniem rzeczywistego studenta: Borowski Józef, Katkiewicz Mikołaj; b) ze stop. kandydatów leśniczy wydział: Guzowski Włodzimierz, Zastowski Jan; rz. st.: Tomaszewski Alojzy, Komoszyński Julian, Radziszewski Teofil. Uniwersytet: a) wydział lekarski ze stopniami lekarzy: Birzysko Jan, Dylewski Jan, Juliński Franciszek, Józefowicz Leopold, Kunz Henryk, Lityński Mikołaj, Wierzejewski Franciszek, Wysokiński Michał; b) wydział prawny rzecz. st. Zukowski Aleksander, Holyński Kazimierz. Szkołę Techniczną: Matuszewicz Wiktor inżynier-mechanikiem, Bortkiewicz mechanikiem.

Prasa peryodyczna.—Jeden z zamożniejszych i inteligentniejszych mieszkańców Suwałk nosi się z projektem wydawania pisma codziennego w Augustowie. Pismo to ma nosić tytuł *Gazeta Suwałsko-Lomżyńska* i traktować o interesach społecznych obydwóch gubernii, ze szczególnem jednak uwzględnieniem interesów, dotyczących ziemian. Projekt rozbija się tylko o brak jednostek z dziennikarską rutyną, któreby pragnęły za niewielkie oczywiście wynagrodzenie, zamknąć się w ciasnych murach Augustowskiego partykularza i tu pędzić niewdzięczny żywot.

Sprawy społeczne.—Jubileusz J. I. Kraszewskiego zwrócił nakoniec uwagę prasy rossyjskiej. *Nowoje Wremia*, umieszczając chlubną wzmiankę o działalności literackiej powieściopisarza, poety, historyka, archeologa i estetyka polskiego, donosi publiczności rossyjskiej, że w roku przyszłym będzie obchodzony 50 letni jubileusz autorskiej działalności Kraszewskiego, w którym to jubileuszu, oprócz Polaków mają przyjąć udział Czesi, Rusini, Morawianie i inne ludy słowiańskie. W końcu dziennik ten donosi, że i w Petersburgu utworzyło się kółko wielbicieli talentu i zasług nestora literatury polskiej, złożone z wybitniejszych literatów rossyjskich, które powzięło zamiar przyłączenia się do wielkiej owacy na cześć autora *Ułany*. Kółko to odbywa właśnie narady nad sposobem okazania jubilatowi czci swojej i szacunku.

Sprawy sądowe.—Ksiądz Nosalski, skazany przez Sąd Okręgowy Siedlecki za zacieranie śladów zabójstwa bratowej na karę osiedlenia w Syberii, decyzyą tegoż sądu miał być wypuszczony na wolność do czasu osądzenia sprawy w drugiej instancji za złożeniem kaucyi w kwocie rs. 5,000. Lecz Prokurator zaprotestował przeciwko tej decyzyi i Izba Sądowa Warszawska postanowiła decyzyą Sądu Okręgowego Siedleckiego uchylić i księdza nadal w więzieniu pozostawić. — Jak wiadomo statystyka oraz kontrola spraw kryminalnych w Królestwie prowadzona jest ciągle od najdawniejszych czasów tak za dawnego, jak i nowego sądownictwa, w tem ostatniem nawet urządzony jest przy Izbie Sądowej wydział osobny statystyczno-kryminalny. Obecnie, jak się dowiadujemy, spisuje się w Izbie Sądowej projekt wprowadzenia statystyki spraw cywilnych, która nam zapewne wykaże dane i urzędownie przekona, o ile tradycyjalna mania procesów u nas się wzmogła lub osłabła.

Instytucje prywatne.—Rada zarządzająca Drogi Żel. Terespolskiej wyznaczyła sumę rs. 30,000 dla urzędników tejże drogi tytułem dodatku, dla drożyzny. Z inicjatywy prezesa, dla rozdziału zasiłku powyższego, postawioną została zasada procentu od pensyj rocznych, zasada z pomiędzy wszystkich najslusniejsza w gruncie. Tym sposobem suma rs. 30,000 ma zostać rozdzieloną według następującej normy procentowej. Wszyscy urzędnicy, pobierający do rs. 750 wyłącznie, otrzymują piętnaście procent (15%) rocznych płac etatowych; pobierający zaś rs. 750 i wyżej otrzymują siedem i pół procent (7½%) swych pensyj; wreszcie służba konduktorska otrzymuje 10% płac rocznych. Postanowienie to, uczuciem ludzkości podyktowane, wykonane zostało na zasadzie słusznej i praktycznej. — Na członka honorowego tutejszego Tow. Farmaceutycznego zaproszonym i zatwierdzonym został p. Dietrich, magister farmacji, prezes takżeż Towarzystwa w Pradze czeskiej. — W dniu wczorajszym w biurze dyrekcji Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od ognia, zaproszona komisya z grona ubezpieczonych, pp.: rady komitetu Towarzystwa Kredytowego Adama Goltza z Puczniewa, rady dyrekcji głównej Karola Kuźmińskiego z Bedonia i Wacława Popiela z Turny złożona—rewidowała w myśl deklaracyi tegoż Towarzystwa z lipca 1876 r. rachunki związku ubezpieczeń rolnych za rok 1877. O rezultatach rachunków tych za dni kilka ma być podana bliższa wiadomość.

Handel i przemysł.—Ma być założoną w Warszawie fabryka sztucznego bazytu i wypalania gipsu. Założycielem tej fabryki będzie p. Eger, budowniczy. — W Miechowskiem pojawili się agenci pruscy, którzy mają na celu kupno lub kolonizacyę majątków ziemskich.

Reformy.—*Nowoje Wremia* podaje za pewne, że projektują się zmiany w obecnym sposobie publicznego ogłaszania wyroków instytucji sądowych. — Członek Rady Państwa, Grott, wypracował projekt utworzenia jednej dyrekcji więzień na całe państwo; w owej dyrekcji ma się znajdować trzech inspektorów i tyłuż pomocników inspektora. Na tych urzędników ma być włożony obowiązek rewidowania wszystkich więzień i czuwania nad ściśmem wykonaniem przepisów wydanych przez dyrekcję więzień.

Wynalazki.—Departament handlu i rękodziel otrzymał prośby od następujących osób w celu udzielenia im przywilejów na wynalazki: od p. inżyniera Kraszewskiego na wodomierz, wynaleziony przez p. Mieczyskiego; od pp. Kaupę i Czełakową o wydanie przywileju cudzoziemcowi Gadudenowi na ulepszenie w urządzeniu pieców gazowych i cudzoziemcowi; Klingstorowi na kałamarz ze stałym porwinem i cudzoziemcom Kunze i Pollakowi na mechanizm łączący do powozek kolejowych; od pp. Smitha i Kurza na ulepszony warsztat do wyrobu kół ostrokręgowych i innych; od pp. rzeczywistego radcy stanu Kolemina i inżyniera technologa Kakorewa na wynaleziony przez ostatniego sposób ulepszenia węgla kamiennego; od cudzoziemca Lawalte na sposób

